

PÓŁROCZNIK

Wychowanków Podlaskiego Mniejszego

Seminarjum Duchownego

czyli

Wyższego Gimnazjum Biskupa Podlaskiego w Siedlcach.

Rok szkolny 1929|30.

Półrocze I.

PARAFIA SW. JANA CHRZYSTOFA
J. E. Ks. Biskupa Dr. Józef Siedlce
w Hadynowie

WYDANY POD KIERUNKIEM

PROF. TEODORA TURKA.

SIEDLCE 1930.

PÓŁROCZNIK

Wychowanków Podlaskiego Mniejszego

Seminarjum Duchownego

cz. II

Wydawca Gimnazjum Mniejszego Podlaskiego w Siedlcach

Rok szkolny 1929/30.

Podręcznik

WYDANY POD KIERUNKIEM

PROF. TEODORA TURKA



J. E. KS. HENRYK PRZEŹDZIECKI BISKUP PODLASKI

Biblioteka
PARAFII SW. JANA CHRZCISTEGO
Ks. J. E. Ks. Biskupa Dr. Igo. S. S.
w Hadynowie

Przez pracę i oświatę — do potęgi.

Szczytne to hasło, głęboka w niem prawda, ale niestety zwykle mało rozumiana, a przez to niedoceniana należycie.

Tkwi w niej nasza potęga, nasza moc, nasze całe znaczenie! Niechże więc stanie się nam gwiazdą przewodnią!

Zdajemy sobie doskonale sprawę, że praca podjęta dla tego wydawnictwa, wymaga z naszej strony dużych wysiłków woli i zdolności, ale to wszystko niknie wobec ogromnych korzyści kształcących, jakie nam samym i innym przyniesie.

Tu uświadamiamy sobie nie tylko nasz dorobek umysłowy, zdobyty żmudnymi zabiegami, ale także cel nasz właściwy, jako młodzieży uczącej się, jako przyszłych obywateli i członków wielkiego narodu.

Zacznijmy od ostatniej pozycji i rozważmy, jaki wogóle jest cel narodu i jaka w nim rola nas samych. Czy naród ma się ograniczyć tylko do walki o byt, wszystkie swoje zabiegi i starania skierować dla podtrzymania swej egzystencji, czy też poza tem istnieje jeszcze coś innego, jakiś cel wspólny wszystkim narodom, cel, że tak powiem, idealny, duchowy?

Spojrzymy na karty historii! Ujrzymy tam, że w czasach odległych na widowni dziejowej główną rolę odgrywają państwa Wschodu. Wielka była ich potęga, wpływy ogromne, życie państwowe rozkwitało w pełni, organizacja polityczna stała wysoko. A jednak po szeregu setek lat świetności, mocarstwa te załamały się, potęga zgasła, wpływy znikły zupełnie. Na gruzach ich powstały ustroje słabe, ubogie, w świecie politycznym nic nie znaczące. Czemu to przypisać? Oto państwa te postawiły sobie jedno tylko zadanie, jeden cel, a była nim walka o dobro materialne.

Tym mocarstwom możemy przeciwstawić państwa współczesne, których przeszłość historyczna sięga także odległych wieków, a które przecież istnieją, rozwijają się i mają wszelkie dane do jeszcze bardziej wzmoczonego życia w przyszłości. Narody te nie ograniczały się bynajmniej tylko do walki o podtrzymanie swojego istnienia, ale przeciwnie, byt materialny, organizacja państwowa, była i jest dla nich jedynie środkiem do osiągnięcia właściwego celu t. j. pełni rozwoju i kultury.

Odbiciem historii całej ludzkości w minjaturze jest Polska. Był czas, kiedy naród nasz potężny, w pełni rozkwitu, wywierał wpływ

daleko na wschód. Po latach pomyślności materialnej i umysłowej przyszedł zastój. Za czasów saskich Polska zasklepiła się sama w sobie, oddała się całkowicie zabiegom o podtrzymanie swego dobrobytu i wygody, korzyść materialna stała się dla niej jedynym celem. To też musiał nastąpić upadek państwa. Na tem wszakże podobieństwo losów naszych do losów narodów azjatyckich się kończy. Podczas gdy tamte upadły, aby nie powstać więcej, nasz naród przebył półtorawiekową niewolę, i znowu w ramach odzyskanego państwa zerwał się do życia.

Ażeby jednak to życie nie było zbyt jednostronne, ażeby mogło trwać po przez wieki, trzeba się zastanowić, jaki jest cel narodu wogóle, w czym i gdzie go szukać, z rozmyślań zaś tych wyprowadzić dalsze następstwa, dotyczące ściśle nas — Polaków.

Właściwy cel narodu i znaczenie jego może być dopiero wysnuć jako wniosek z jego zasobów i zdolności. Badanie i roztrząsanie zadań wspólnych musi więc z konieczności prowadzić do zastanowienia się nad naszymi właściwościami. Z tego widzimy, że pierwszym krokiem na tej drodze, musi być poznanie samego siebie. I to jest w istocie najważniejszy warunek naszej żywotności, naszego istnienia narodowego.

Tu znowu zwróćmy się do historii, ale zwrot ten winien być rzeczowy. Bynajmniej nie należy kierować się wyłącznie przeszłością, nie należy uważać jej za najwyższy sprawdzian naszego obecnego postępowania.

Wziąć z historii to tylko, co rzeczywiście może nam ułatwić poznanie samych siebie, i co ma być podłożem naszej działalności. To jasne. Bo jeżeli weźmiemy pod uwagę jakikolwiek czyn twórczy, to zobaczymy, że musi on należeć do pewnego systemu kulturalnego. Inna rzecz, że może on system ten pogłębić, ale musi się bezwzględnie na nim oprzeć. System kulturalny zaś nie może powstać, choćby nawet w ciągu lat dziesięciu — (mówię o dziesięciu, jako o latach naszego istnienia powojennego, gdyż chcę silniej zaznaczyć naszą zależność od tradycji). To nie jest improwizacja, ale musi się on wytworzyć przez szeregi dziesiątków, a bodaj i setek lat. Wszelkie, jakbyśmy powiedzieli, „nowe kultury“, muszą powstać i powstają na starym podłożu. A więc zadaniem naszym będzie wydobyć z historii te fakty, które ściśle charakteryzują naszą polską twórczość w dziedzinie kulturalnej.

Musimy zastanowić się nad rolą, jaką odgrywał nasz naród w dziejach świata.

Od przyjęcia chrześcijaństwa, a więc, można powiedzieć, od początku swego istnienia, widzimy, że Polska stoi na straży religii i kultury zachodniej. Wierność religii i Kościołowi, która tyle dobrego sprawiła naszemu państwu, była cechą charakterystyczną narodu. Staliśmy wiernie przy tej matce naszej i nie tylko strzegliśmy prawd wiary, ale zaszczepialiśmy je wśród ludów, które ich jeszcze nie posiadały. Z rozkrzewianiem wiary wprowadzaliśmy cywilizację, łączyliśmy ludy, stojące na niskim poziomie kulturalnym, z kulturą Zachodu, umożliwiając im nawiązanie wszelkiego rodzaju stosunków z cywilizowanym światem. W czasie napadów tureckich własną pierśią broniliśmy chrześcijaństwa i Zachodu. Polska „przedmurzem chrze-

ścijaństwa", to było nasze zaszczytne miano i nasza zasługa wobec cywilizacji. W czasie pokoju wydatną pracą umysłową dokładaliśmy skromną cegielkę do ogólnej budowy kultury świata. Nawet gdy utraciliśmy niepodległość, kiedy wszyscy sprzysięgli się przeciw nam, kiedy nie było nikogo, kto by się ujął za nami, walczyliśmy „za naszą i waszą wolność". Całe nasze istnienie historyczne polegało na tem, ażeby nie tylko odnosić korzyści, ale też być pożytecznymi. Postulat etyczności życia zbiorowego, to nasza najistotniejsza cecha. Nawet stare przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie" — dobitnie nam wskazuje, że z etyką w życiu narodowym liczyliśmy się bardzo i chociaż często odnosiliśmy na tem polu porażki, to jednak drogi swej nie opuściliśmy.

Zadaniem naszym ją zachować, nie starać się z niej schodzić, bo inaczej z naszych poczynań nic nie będzie. Zamiast zabiegów o przystosowanie naszego indywidualnego charakteru do jakiejś formy określonej, skądinąd zupełnie nam obcej, starajmy się lepiej zastanowić nad tem, jak z naszego charakteru wyciągnąć odpowiednie wartości polityczne, społeczne i kulturalne.

Oto nasze cele: stać wiernie przy wierze świętej, nie pozwolić, wyrwać sobie najdroższych uczuć, a jednocześnie być pionierami kultury i cywilizacji. Praca dla cywilizacji wogóle, a dla cywilizacji życia zbiorowego w szczególności, winna być naszą ideą przewodnią. Naszym żywiołem to powszechność czynna myśli i twórczości. Znaczenie nasze winno się opierać na zasługach naszej cywilizacji około ogółu narodu. Nasza ambicja narodowa mówi nam, że wznowienie państwa polskiego leży w interesie polityki ogólnoeuropejskiej, że jest ono potrzebne dla uzupełnienia pracy cywilizacyjnej.

Pogląd taki na sprawę polską, związany ze sprawą powszechną, z konieczności musi prowadzić z jednej strony do coraz szerszego ujmowania horyzontów świata, a z drugiej — do badania siebie samych, jako jednostek, do rozważania naszych indywidualnych zdolności i sił. Z tego wynika, że zanim będzie można odwoływać się do spraw ogólnonarodowych, trzeba w pierw spełniać swoje obowiązki w życiu prywatnem. Ale jak niemożliwą jest rzeczą wyciągnąć dla siebie wskazówki postępowania wyłącznie z walki narodu o byt, tak też nie można się oprzeć bezwzględnie na dążeniach idealnych i całą swą pracę skierować jedynie dla ich urzeczywistnienia. W dążeniu do osiągnięcia takiego stanowiska naszego narodu w cywilizacji świata, jakie on powinien zajmować, wysuwanie sobie za dewizę ideałów, musi iść w parze z uzyskiwaniem realnych podstaw, z podnoszeniem kultury materialnej, z powiększaniem dobrobytu ogólnego. Jedno bez drugiego pomyśleć się nie da. Można nawet powiedzieć, że dobrobyt materialny winien być naszym pierwszym celem, bo od osiągnięcia jego zależy właściwie pomyślność naszych starań około cywilizacji i kultury duchowej. Wpierw musimy żyć, a potem dopiero działać, oto warunek naszego rozwoju, to zasada, która, o ile się jej będziemy trzymali, pozwoli nam zająć poczesne miejsce wśród narodów świata.

Musimy walczyć o byt — to prawda. Walka ta powinna być naszą myślą przewodnią, ale nie pochłaniać wszystkich naszych sił. Te same pierwiastki genjuszu, które w walce tej rozstrzygają o powodze-

niu państwa, mają decydujący wpływ na rozwój i pomyślność życia społecznego i prywatnego. Walka ta, czyto w granicach państwa, czy w ramach rodziny toczy się przedewszystkiem dokoła darów przyrody. Umiejętne wyzyskiwanie tych darów, praca nad sposobem ich wyzyskania, może znacznie podnieść nasze bogactwo, nasz majątek prywatny, a w związku z tem powiększyć mienie publiczne i polepszyć stanowisko gospodarcze kraju. I tutaj zachodzi konieczność wzrostu użycia darów przyrody.

Ta potrzeba powiększania wytwórczości gospodarczej pozostaje w ścisłym związku z oświatą. Od jej poziomu zależy stopień kultury gospodarczej. Oświata, która pomaga do osiągnięcia celu właściwego danemu narodowi, decyduje również o zwycięstwie w walce o byt. I ta dominująca rola jej w dążeniu do idealnych, jak i materialnych celów narodu, powinna wszystkich skłonić do zajmowania się nią, do garnięcia się do niej jak najszerzych mas społeczeństwa.

Tutaj wysuwają się dla nas, jako młodzieży uczącej się, obowiązki wielkie, których wykonanie pozostaje w ścisłym związku z celami naszego narodu.

Pierwszym obowiązkiem, będącym, że tak powiem, syntezą wszystkich innych jest — praca. Praca w szkole, praca w domu, praca w gabinecie uczonego, w warsztacie rzemieślnika — bo to nasza potęga. Tylko pracą możemy dojść tam, gdzie zamierzaliśmy. Marzenia „romantyków“, przejawiające się niestety przeważnie tylko w słowach, — to nie dla nas! My mamy Polskę wolną, nie potrzebujemy wyteżać swoich sił dla uzyskania niepodległości terytorjalnej, ale zato mamy zadanie niemniej trudne do spełnienia, zadanie utrzymania tej niepodległości i to nie tylko terytorjalnej, ale też gospodarczej i kulturalnej. Jest to najważniejszym, koniecznym wprost postulatem naszej żywotności. Dokonać tego możemy tylko przez pracę i oświatę. Potrzebną dla państwa naszego siłę musi wykrzesać z zasobów materialnych oświata narodowa!

Na nas, młodzież polską, zwrócone są oczy całego społeczeństwa, nam pragnie ono powierzyć w przyszłości ster nawy państwowej i spodziewa się, że nie zawiedzimy pokładanych w nas nadziei, że podniesiemy państwo nasze tak pod względem duchowym, jako też i materialnym, że zrobimy krok naprzód w osiągnięciu naszego właściwego celu. Czyż więc możemy zawieść oczekiwania społeczeństwa, czy możemy zniweczyć pokładane w nas nadzieje? Nie!

Ale czem przekonamy wszystkich, że istotnie osiągniemy nasz cel, że urzeczywistnimy pragnienia i nadzieje narodu?

Przekonamy ich sumiennem wykonywaniem obowiązków i to obowiązków codziennych, nakładanych na nas czy przez odpowiednie regulaminy, czy przez przełożonych, nauczycieli, wychowawców.

Uważaj na wykładzie, korzystaj zeń, przygotuj należycie zadane lekcje, we wszystkim bądź posłuszny tym, którym zostało powierzono kierownictwo tobą!

Wykonywując to wszystko, przyzwyczajając się do życia poważnego i karnego, będziesz mógł w przyszłości działać z pożytkiem w ramach społeczeństwa, przyczyniając się do intensywnego i sprawnego działania organizmu państwowego i narodowego.

Niechże to pismo będzie odbiciem naszych w tym kierunku wysiłków, niech pokaże, że pracujemy, niech podtrzymuje nadzieje społeczeństwa, niech świadczy, że jesteśmy zdrową i tęgą częścią narodu i że będziemy kiedyś godnymi spadkobiercami spuścizny ojców naszych.

Tak nam dopomóż Bóg!

Stanisław Argasiński, kl. VIII.

PODLASKIE MNIEJSZE SEMINARJUM DUCHOWNE czyli WYŻSZE GIMNAZJUM BISKUPA PODLASKIEGO*.

Od pierwszej chwili objęcia zarządu wskrzeszonej Diecezji Podlaskiej, t. j. od roku 1918, w umyśle naszego Arcypasterza J. E. Ks. d-ra Henryka Przeździeckiego powstała myśl stworzenia Liceum. Stosunki w zaborze rosyjskim nie pozwoliły, aby do seminarjów duchownych przyjmowano tylko tych, którzy posiadają maturę gimnazjalną. Ten stan rzeczy skazywał je na wprowadzenie do programu przedmiotów ogólnokształcących z zakresu kursu gimnazjalnego i wyrabiał w osobach nie zdających sobie sprawy z tego, czego uczą w seminarjach, przekonanie, że kapłanowi wystarcza wykształcenie z klas czterech. By uwolnić seminarjum od nauczania przedmiotów gimnazjalnych, a tem samem zyskać czas na pogłębienie przedmiotów teologicznych, J. E. Ks. Biskup założył w roku szkolnym 1923/24 w Siedlcach Podlaskie Liceum Biskupie, mające za zadanie wychowywać kandydatów, którzy posiadają powołanie do stanu duchownego, na wiernych synów Kościoła Katolickiego i Ojczyzny. Założenie Liceum początkowo natrafiło na wielkie, prawie nieprzezwyciężone przeszkody. Przedewszystkiem nie było ani lokalu, ani żadnych funduszy. Jednakże nasz Najdostojniejszy Pasterz znalazł wyjście z tak trudnego położenia w ten sposób, że znaczną część swego mieszkania oddał dla szkoły, funduszu zaś na wykonanie zbożnego dzieła dostarczyła mu tak jego, jak i duchowieństwa parafjalnego oraz wiernych ofiarność. I oto w lipcu 1923 r. J. E. Ks. Biskup mianuje Dyrektorem tego zakładu kapłana o wypróbowanej cnocie, stałym charakterze, pełnego młodzieńczego zapału i poświęcenia, b. profesora i inspektora Duchownej Rz.-Kat. Akademii Petersburskiej, oraz długoletniego wychowawcę i doskonałego znawcę młodzieży, Ks. Infułata dr. Karola Dębińskiego, Protonotariusza Apostolskiego ad instar, Prałata Kapituły Katedralnej Podlaskiej i poleca mu zorganizowanie naszej uczelni. Już dnia 23 sierpnia 1923 r. odbył się pierwszy egzamin wstępny do Liceum, mającego się składać z pięciu wyższych klas gimnazjalnych. Do egzaminu stawilo się 102 kandydatów do klasy czwartej, z których przyjęto zaledwie 32. Przez wrzesień 1923 r. z gorączkowym

* Prace, zamieszczone w tym „Półroczniku”, są przeważnie albo wypracowaniami domowymi, albo referatami, wygłoszonymi przez uczniów na zebraniach właściwych Kółek.

pośpiechem przygotowuje się salę wykładową, refektarz dla uczniów, mieszkanie i kaplicę. Wreszcie dnia 2 października 1923 r. nowe Liceum zostaje otwarte. O godzinie 9 rano w kaplicy licealnej zebrali się pp. profesorowie, uczniowie z rodzicami i nieliczne grono przyjaciół zakładu. Przybył też Najdostojniejszy Arcypasterz i poświęcił kaplicę, klasę i mieszkania uczniów. Następnie w asystencji ks. Dyrektora i pierwszego Prokuratora i Prefekta Liceum, ks. Władysława Pogonowskiego, odprawił uroczystą Mszę św. Wszyscy obecni udali się do sali wykładowej i tu ks. kanonik J. Kobyliński odczytał dekret biskupi o otwarciu Liceum. Wreszcie J. E. Ks. Biskup w krótkich a serdecznych słowach przedstawił cel, jaki mu przyświecał w założeniu naszego Seminarjum. Wykłady, prowadzone według programu wyższych gimnazjów humanistycznych, rozpoczęły się dnia 3 października. Pierwszą lekcję łaciny miał sam ks. Dyrektor i odtąd życie szkolne popłynęło zwykłym trybem. Początkowo wszystko szło trudno. Całe Liceum mieściło się zaledwie w paru salach. Uczniowie, z powodu braku refektarza, musieli brać żywność w miseczki i spożywali ją w swych mieszkaniach. Dopiero z biegiem czasu, pomału, przy pomocy Opatrzności i dzięki ofiarności Jego Ekscelencji i kapłanów, oraz wysiłkom ks. Dyrektora, przezwyciężono piętrzące się ze wszystkich stron trudności istosunki w szkole zaczęły się dobrze układać. Wkrótce znalazły się ławy, tablice, przyrządy szkolne i t. d. Uczniowie korzystali początkowo z praw alumnów Seminarjum, ale już dnia 14 stycznia 1924 r., po drobiazgowej wizycie p. Jana Michalskiego, Wizytatora Okręgu Szkolnego Warszawskiego, otrzymało Liceum niepełne prawa gimnazjów państwowych wraz ze zmianą nazwy Liceum na Wyższe Gimnazjum Biskupa Podlaskiego. Od tego czasu Gimnazjum rozwijało się stopniowo. Początkowo była otwarta tylko IV-ta klasa z 32 uczniami, później z każdym rokiem przybywała jedna klasa, tak, że już w roku 1928 Gimnazjum posiadało 8 klas. Ze zwiększeniem się ilości klas, należało powiększyć lokal gimnazjalny. To też Ks. Biskup nabył przyległy do jego rezydencji dom jednopiętrowy i już od początku 1924/25 roku szkolnego przeniesiono uczelnię do tego lokalu, ale mieszkania alumnów pozostały w dalszym ciągu w pałacu Arcypasterza. W ten sposób Gimnazjum otrzymało dosyć wygodne pomieszczenie. Seminarjum jednak, chociaż bardzo uszczupla mieszkanie Ks. Biskupa, jest za małe i dlatego nie może pomieścić większej liczby alumnów. Alumni korzystają nie tylko z mieszkania Ks. Biskupa, lecz i z parku, w którym się bawią przez rok cały, a w lecie nawet miewają tam lekcje.

Wskutek zabiegów p. prof. Wacława Krzemienieńskiego powstał „Gabinet przyrodniczy”. Ten gabinet posiadał początkowo tylko jastrzębia i kilka ptaszków mniejszych, ale teraz, dzięki p. profesorowi, niezmordowanej pracy kolegi Wł. Bazyluka i pomocy wszystkich uczniów Gimnazjum, gorliwie gromadzących różne okazy w czasie feryj letnich, oraz darom księży diecezjalnych, zajmuje już trzy pokoje szczelnie zapełnione szafami, zawierającymi: ptaki, ryby polskie, okazy mineralogiczne, owady, maleńkie terrarium i trzy akwarja. Na półkach leżą zielniki. Nadto gabinet posiada niezbędne tablice przyrodnicze, mikroskopy, modele anatomiczne i t. d. Prowadzi się hodowlę jednokomórkowców, potrzebnych do wyjaśniania lekcji. Lekcje przyrody odbywają się w gabinecie i są niezmiernie interesujące.

W miarę rozwoju szkoły i jej potrzeb powstał i rozwijał się gabinet fizyczny, zawierający przyrządy potrzebne do doświadczeń. Dziś prawie wszystkie przyrządy, które są niezbędne, już posiadamy.

Przy Seminarjum istnieje też piękna biblioteka, powstała wraz z założeniem szkoły. Najpierw ks. Dyrektor ofiarował cały swój księgozbiór, liczący około trzech tysięcy tomów. Za tak godnym do naśladowania przykładem poszli inni, np. Ks. Prałat T. Osieński. Biblioteka rok rocznie wzrastała dzięki niezwyklej ofiarności tak Ks. Ks. Biskupów, jak i kapłanów diecezjalnych, oraz dzięki zakupywaniu w znacznej stosunkowo ilości nowych dzieł, niezbędnych dla nas. Dzieli się ona na bibliotekę profesorską i uczniowską. Uczniowie jednak mogą korzystać nie tylko ze swej biblioteki, ale i z profesorskiej. Dziś już posiada około 4780 dzieł autorów polskich i obcych i około 7000 tomów. Książki są różnej treści. Między nimi mamy wiele dzieł pięknie wydanych i kilkanaście rzadszych. Nasza biblioteka dziś już prawie zupełnie zaspakaja potrzeby nie tylko nasze ale i pp. profesorów. Bibliotekarzem jest sam ks. Dyrektor, a przy wydawaniu książek pomagają mu poszczególni uczniowie z każdej klasy. Zajmuje ona trzy dość duże pokoje szczerze zastawione szafami lub półkami. Niezależnie od biblioteki mamy czytelnię uczniowską, zawierającą kilkanaście czasopism, oraz encyklopedje i słowniki, w których możemy w każdej chwili znaleźć objaśnienia niezrozumiałych, albo przedstawiających dla nas pewne trudności, wyrazów.

Do wyłącznego użytku naszego służy epidjaskop i radio, dzięki któremu dosyć często słuchamy oper, koncertów lub odczytów.

Na sali rekreacyjnej bywają prawie co tydzień wygłaszane referaty tak przez pp. profesorów, jak i przez kolegów. Dla ułatwienia zrozumienia treści wygłaszanych referatów, a nawet niektórych lekcji, nierzadko też dla zabawy, bywają wyświetlane zapomocą epidjaskopu różne obrazy. W Seminarjum istnieją organizacje uczniowskie: Sodalicja Marjańska, Koło Abstynentów, Koło Literackie im. A. Mickiewicza, Koło francuskie, Koło L. O. P. P., Koło przyrodnicze, Koło fizyczno-chemiczne, Samopomoc szkolna, Ministerstwo pracy i Koleżeńska samopomoc naukowa.

Na pierwszym miejscu należy postawić Sodalicję Marjańską. Ponieważ cel i zadania Sodalicji są wszystkim znane, więc szczegółowe omawianie jej uważam za zbędne. Szerzy ona między innymi ideę misyjną w ten sposób, że składamy na misję drobne ofiary, sprzedajemy nie tylko w szkole, ale i w domu, nalepki, obrazki lub cegiełki na ten cel przeznaczone. Przy Sodalicji Marjańskiej istnieje, jako jej sekcja, „Koleżeńska Samopomoc naukowa”. Zadanie jej polega na tem, że wzorowi uczniowie pomagają słabszym kolegom, udzielając im bezpłatnych korepetycji.

Przy końcu roku 1928, po kilku zebraniach przygotowawczych, na których ks. Dyrektor obszernie omówił szkodliwość używania napojów wysokowych i zgubne ich skutki, zostało założone Koło Abstynentów. Działalność stowarzyszonych polega na propagandzie przeciwalkoholowej tak w szkole jak, i w rodzinach ich, wygłaszaniu referatów, poruszających bądźto sprawy alkoholizmu, bądź jakieś inne, z użyciem trunków związane. Członkowie ze składek prenumerują odpowiednie czasopisma i nabywają książeczki z dziedziny alkoholizmu lub powieści, poruszające zagadnienia powyższe. Opiekunem Koła jest p. profesor Jan Jędrzychowski.

W celu pogłębienia wiadomości z języka ojczystego i literatury istnieje Kółko literackie imienia A. Mickiewicza. Wywiera ono wielki wpływ na czytelnictwo nasze. Profesor—polonista podaje spis książek, które mamy przeczytać. W osobnych dzienniczkach robimy odpowiednie streszczenia i notatki rzeczowe, oraz zapisujemy swe wrażenia. Posiadamy również katalogi, w których notujemy tytuły książek i nazwiska autorów. Lekturę obowiązkową czytamy chętnie, z dużym zainteresowaniem i porządnie prowadzimy dzienniczki. Opracowujemy też referaty o treści poważnej z zakresu literatury. Kierownik koła, p. prof. T. Turek, omawia chętnie niektóre dzieła naszych wielkich poetów i powieściopisarzy.

W roku szkolnym 1928-29 z inicjatywy p. Tołkaczewskiej M., nauczycielki francuskiego, powstało również Koło miłośników języka francuskiego. Członkowie piszą wypracowania na dowolnie obrane tematy i prowadzą dyskusje „en français”.

W roku 1929 zorganizowano dzięki p. prof. Stanisławowi Rostkowskiemu przy Kółku fizyczno-chemicznem sekcję L. O. P. P., która dobrowolnie opodatkowała się na cele lotnictwa państwowego i ma zamiar sporządzać modele samolotów.

W czwartym roku istnienia szkoły założone zostało Koło przyrodnicze. Działalność jego polega na opracowywaniu referatów z dziedziny przyrody, opiekowaniu się gabinetem i gromadzeniu okazów. Do dyspozycji członków znajdują się w gabinecie atlasy i odpowiednie dzieła. Korzystają oni z mikroskopów, oraz lup, by podpatrywać tajemnice natury. Koło przystąpiło do Ligi Ochrony Przyrody, nawiązało stosunki z „Zakładem Ichtjologii” w Warszawie i prenumeruje „Czasopismo Przyrodnicze”.

Prawie od chwili założenia szkoły istnieje Samopomoc Szkolna. Wybieramy Zarząd, który następnie bywa zatwierdzony przez władzę szkolną. Dla zaspokojenia potrzeb naszych służy sklepik, dostatecznie zaopatrzony w niezbędne dla użytku codziennego rzeczy. W nagłych wypadkach Zarząd udziela nam pożyczek. Opiekunem stowarzyszenia jest każdorazowy ks. Prefekt. On też przechowuje pieniądze, sprawdza stan kasy, przegląda rachunki i kontroluje sklepikarza przy pomocy wybranej przez nas Komisji Rewizyjnej.

Samorządne Ministerstwo Pracy rozwija się bardzo dobrze. Członkowie są zobowiązani do pracy w parku w czasie wolnym od zajęć szkolnych; wybierają sobie ministra pracy, wójta i z każdej klasy sołtysa. Ci wyznaczają mających w danym dniu pracować, dozoruja ich, dają rady i wskazówki i pomagają w robocie. W lecie utrzymujemy w porządku aleje w parku, boisko, skocznię, trawniki, w jesieni zmiatamy z ulic opadłe z drzew liście, w zimie urządzamy ślizgawkę, a na wiosnę kopujemy grządki, obsiewając je warzywami i kwiatami.

Pierwszymi profesorami w naszej uczelni byli: ks. prałat J. Ryster, ks. kan. K. Piotrowski, ks. Wł. Czech i pp. W. Woszczerowicz, St. Rostkowski, W. Krzemieniewski, dr. Ant. Stach, Jul. Grefkowicz. Obecnie pracuje nad nami o wiele liczniejsze grono. Prócz ks. Dyrektora wychowawcami naszymi byli: Ks. Kanonik Grzegorz Śnitko, ks. J. Grądzki, B. Sprycha, Sapiecha S. i G. Filipiuk, teraz jest ks. Piotr Aleksandrowicz, absolwent uniwersytetu lubelskiego. Obecnie



GMACH MNIEJSZEGO SEMINARJUM DUCHOWNEGO CZYLI WYŻSZEGO GIMNAZJUM
BISKUPA PODLASKIEGO W SIEDLCACH

nauki wykładają nam następujący profesorowie: ks. kan. K. Piotrowski, ks. W. Branik, panie: J. Grubertowa, M. Tołkaczewska, panowie: St. Rostkowski, W. Woszczerowicz, T. Turek, J. Jędrychowski, W. Krzemieniewski, St. Dzierożyński, E. Gadt, J. Łukaszkiwicz, W. Nowosielski, dr. H. Ostrowski i p. J. Ceren-Egersdorfowa. W ciągu ostatnich lat paru kolegów na koszt szkoły jeździło z wycieczką młodzieży szkolnej, polskiej do Rzymu. Oni to mieli szczęście widzieć, mówić i otrzymać błogosławieństwo kierownika Łodzi Piotrowej — Ojca św. Piusa XI, szczególnego przyjaciela narodu naszego. Tak w roku 1926 byli w Świętem Mieście koledzy: Edward Baran i Henryk Brzostowski. Wycieczkę tę barwnie opisał Brzostowski we „Wrażeniach z podróży do Rzymu“, drukowanych w Wiadomościach Diecezjalnych Podlaskich, a w roku 1929 był w Rzymie kolega kl. 8-ej R. Zawadzki.

W roku 1928 odbył się w Gimnazjum pierwszy egzamin maturalny, przeprowadzony przez Komisję Państwową: piśmienny pod przewodnictwem p. Dra St. Rutkowskiego, dyrektora Gimnazjum państwowego im. B. Prusa w Siedlcach, ustny zaś w obecności Wizytatora Szkół Okręgu Lubelskiego p. Dra St. Bugajskiego. Komisja przyznała świadectwa dojrzałości 9-ciu kandydatom: Leonowi Bilskiemu, Stefanowi Bilskiemu, Henrykowi Brzostowskiemu, Bartłomiejowi Ceptowskiemu, Zygmuntovi Czajce, Eugenjuszowi Melanowi, Nikodemowi Morawikowi, Hieronimowi Radzikowskiemu i Andrzejowi Zawistowskiemu. Pięciu z maturzystów, a mianowicie: Leon Bilski, Brzostowski, Ceptowski, Morawik i Zawistowski — wstąpiło do Większego Seminarjum w Janowie Podlaskim. W roku ubiegłym wszyscy uczniowie kl. 8-ej, a mianowicie: Edward Baran, Władysław Bazyluk, Piotr Filipowicz, Antoni Reniszak i Michał Szymański otrzymali świadectwa dojrzałości. Egzaminom piśmiennym przewodniczył p. Karol Piechowski, Dyrektor Gimnazjum państwowego im. Hetmana Żółkiewskiego w Siedlcach, jako Delegat Kuratorjum Okręgu Szkolnego Lubelskiego, a ustnym, w tym samym charakterze, p. dr. Stanisław Komar, Wizytator Szkół Srednich tegoż Kuratorjum. Wszyscy ci maturzyści zostali alumnami Seminarjum Janowskiego.

W ciągu roku szk. bierzemy udział we wszystkich uroczystościach i obchodach narodowych, urządzamy wieczorki i akademje, czasem odwiedzamy kino lub teatr, robimy częste wycieczki w bliższe okolice miasta a od czasu do czasu w ciekawsze miejsca Kraju — słowem prowadzimy życie urozmaicone.

Oprócz pp. Wizytatorów Kuratorjum Lubelskiego nasze Gimnazjum nawiedza od czasu do czasu ks. Biskup i bywa obecnym na wszystkich lekcjach. Lekcje zadane odrabiamy w salach, specjalnie na ten cel przeznaczonych, pod okiem ks. Prefekta, lub samego ks. Dyrektora, który „schodzi, jak mawia, do swoich aniołków, baczyć, aby za wiele nie brykali“.

Dzięki wysokiej ofiarności Ks. Biskupa i pomocy kapłanów naszej diecezji, oraz dzięki usilnej i pełnej poświęcenia pracy naszego Kierownika ks. dr. Karola Dębińskiego, Seminarjum, polecone opiece Dzieciątka Jezus, Najświętszej Maryi Panny i Jej Oblubieńca św. Józefa, pod względem moralnym i naukowym stale się podnosi i mamy niepłonną nadzieję, że, przy pomocy Bożej, podnosi się będzie dalej.

St. Gogłuska kl. VI.

Do światła.

*Do światła zawsze dążyć,
I światłem tylko żyć,
W świetle jak słońce krążyć,
Jak słońce innym lśnić!*

*Świecić nietylko sobie,
Nieść światła blaski tam,
Gdzie ono w mgieł żałobie,
Gdzie trzumi kłami!*

*Nieść płomień wiary trzeba,
Wśród mroków zatknąć krzyż —
Wskazywać drogę do nieba,
Do Boga — w światło — wzwyż!*

Aleksander Kulczyński kl. VI.

A. Mickiewicza

„Oda do młodości”.

(Analiza literacka)

Na horyzoncie ludzkości zjawiają się co pewien czas jednostki obdarzone nadzwyczajnymi przymiotami i zdolnościami, a działalność ich jest nieraz tak doniosła, że wykreśla drogi rozwoju nietylko poszczególnym narodom, ale nawet całej społeczności ludzkiej.

Zjawiają się jak meteory, czyto na polu polityki, wiedzy, czy sztuk pięknych. W dziedzinie sztuki i literatury najtrudniej jest wytłumaczyć powstanie i twórczość takich jednostek. Bo co do wybitnych wodzów i polityków, to możemy powiedzieć, że łączą oni często wielkie zdolności z energią oraz mozolną pracowitością i przez to dochodzą nieraz do świetnych realnych wyników. Polityk bowiem lub wódz, opierając się na współczesnych mu stosunkach, może przewidzieć bystrym umysłem przyszłe warunki działania i do nich się przystosować, czego nie można całkowicie powiedzieć o artystach i poetach, gdyż dziedzina ich jest krainą fantazji i natchnienia, w której wszystko dzieje się inaczej, niż w sferze rzeczywistości. Co prawda i tu spotykamy osobniki, które pracą wytrwałą i żmudną rozwinęły swe zdolności i doszły do pewnej wyżyny, lecz dzieła ich nie posiadają takiej wartości, jak dzieła genjuszy.

Bo też dziwnym zjawiskiem jest genjusz — wszystko w nim jest w pełni — tworzy bez żadnego wysiłku, jedynie dlatego, aby wyładować nadmiar twórczej energii, która w nim wre i kipi. Genjusz to wybrany duch, to iskra Boża. I siła woli, i jasność rozumu są mu przyrodzone. Można go porównać do jakiegoś wielkiego światła wewnętrzznego, które albo pali się równomiernie i ogarnia wszystko po-

teżnym płomieniem, albo też wybucha nagle oślepiającym blaskiem meteoru i gaśnie. Mamy bowiem przykłady, że jedni ludzie posiadali genjusz twórczy przez całe życie, inni zaś jedynie w pewnym tylko jego okresie, co dowodzi, iż nie jest on niczem związany z człowiekiem i zależy od jakichś wyższych sił. Takim genjuszem był nasz wieszcz narodowy, A. Mickiewicz.

Gimnazjum ukończył w Nowogródku, a uniwersytet w Wilnie, gdzie nie tylko przyswoił sobie bardzo dużo wiedzy, ale pracował też z zapałem na polu społecznym w ówczesnych związkach filomatów i filaretów. Celem tych stowarzyszeń, oprócz oświaty i walki z ciemnotą i zacofaniem naszego ludu, było wszczepianie zamiłowania do przeszłości narodowej i praca dla dobra i przyszłości kraju. Poeta naszym ciałem i duszą należał do tych kółek. On je organizował, tworzył ustawy, urządzał odczyty, pisał rozprawki i wiersze, wyrażające ich cele i hasła. Sam też przejmował się nimi do głębi. Jak cała ówczesna młodzież wileńska, hołdował ideom Oświecenia, które na pierwszym miejscu stawiało rozwój nauk i oświatę, na dalszem zaś — liberalizm i inne cele. Młody poeta zapragnął jednak szerzyć hasła towarzystwa nie tylko wśród młodzieży uniwersyteckiej, lecz także po wszystkich ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. A ponieważ czynem nie mógł tego przeprowadzić, pozostało mu jedynie przelać swoje myśli w słowo poetyckie i w tej formie podać je innym.

Zamiar swój wykonał, pisząc w roku 1820 „Ode do młodości”. Utwór ten, jak wskazuje sam tytuł, jest hymnem, na cześć młodości wyśpiewanym. Możemy go podzielić na trzy zasadnicze części. W pierwszej została ujęta materialistyczno-realistyczna teraźniejszość z jej małostkowością i zasklepieniem w sobie, która młodemu, pełnemu energii pocię przedstawiła się jako egoistyczna starość. Przeciwstawia jej więc młode, pełne zapału pokolenie, prześiknięte ideałami braterstwa i miłości, — pokolenie, do którego należy przyszłość szczęśliwa i świetna w nowym, przez nią utworzonym świecie.

W drugiej części wzywa poeta młodzież, aby, zebrawszy swe potężne siły, przystąpiła do przekształcenia starego świata w myśl swoich ideałów. Nie ukrywa przeszkód i trudności, daje przestrogi i poucza na przykładach, jak należy do dzieła się przygotować i jak dążyć wytrwale do celu.

Następuje część trzecia, która jest przepiękną wizją spełnienia przyszłości. Poeta staje się jasnowidzem; przeniknięty olbrzymią miłością ludzkości, uzyskuje przez nią taką moc, iż widzi przyszłość. Widzi, że hasła jego nie poszły na marne, że młodość wspólnym wysiłkiem rusza ziemię z posad, zmienia jej powierzchnię i tworzy nowy świat w miłości i wolności. Słusznie też jako motto utworu wziął poeta wiersz Schillera: „A stare kształty rozpadają się w gruzy”. Zgodnie z tą myślą zaznacza zaraz w pierwszym wierszu swoje zapatrywania na ludzkość i podaje przyczyny oraz podstawy, dla których ją potępi. Jednocześnie pozwala się domyślać, że będzie mówił nie tylko o tych, których potępi, o ludach szkieletów, lecz i o tych, którzy posiadają serce i ducha, którzy żyją życiem naprawdę intensywnym i bujnym.

Świat ziemski, bez serc, bez żadnej idei, jest dla poety martwym. On mu nie wystarcza, nie może zaspokoić duchowych jego potrzeb, dlatego chce się wznieść poeta na skrzydłach młodości do przeczu-

wanego świata idei, lepszego i piękniejszego, niż ziemski. Świat ów wymarzony jest pełen życia, gdyż panuje w nim wszechwładnie uczucie i miłość. Tam nic nie gnuśnieje w jednej formie, lecz ciągle się rozwija, przybierając coraz doskonalsze kształty. Tam, w tej „rajskiej dziedzinie uludy“, panuje wyłącznie entuzjazm i zapał, który dokonywuje rzeczy niemożliwych nawet do pomyślenia na ziemi. Tworzy on coraz inne dzieła i sprawia to, że te idee, o których na ziemi marzyć jedynie wolno, tam się urzeczywistniają.

Temu światu przeciwstawia poeta świat ziemski, który widziany z wyżyn ideałów przedstawia się w najczarniejszych barwach, jako wielka, ciemna i martwa kula, do której nie może przeniknąć żaden promień światła idei, ponieważ cała jest zalana grubemi zwalami mgieł, norm i przesądów. Tam, w dole, piętrzą się i przelewają leniwie mętne fale trupich wód, na których unoszą się marne, poziome płazy, zmierzające odruchowo do nieznanego celu. Im wydaje się, że rządzą tą unoszącą ich falą losu, a tymczasem są jedynie jej igraszką. Ta fala rwie ich to wgórę, to nadół, to naprzód, to wtył, aż w końcu rzuca o skałę, o „szmat głazu“, i nędzna łupina ich życia pęka, rozbija się, pryska, jak bańka mydlana i żaden ślad z niej nie pozostaje.

A czemu zajmował się ten płaz podczas swojego istnienia? Oto całą jego pracą było chwytanie mniejszych, słabszych twórców i pożeranie ich. Do tego celu tylko wyteżał on swe wszystkie myśli i siły. Nic więc dziwnego, że, niczego dla innych nie zdziaławszy, ginie bez żalu i śladu. Takimi płazami byli, według poety, dawni mieszkańcy starego świata. Są to egoiści i materjaliści, zasklepieni w skorupach swych prawideł i przesądów. Obwarowali się niemi do tego stopnia, że teraz, chociażby nawet chcieli z nich się otrząsnąć i rozpocząć nowe życie, nie mogą tego uczynić, gdyż pęta, przyjęte własnowolnie, wżarły się im w krew, w mózg i w duszę; reguły stały się z przyzwyczajenia ich drugą naturą, i otrząsnąć się z nich już nie jest w ich mocy. Wegetują więc marnie, widzą przed sobą tylko własne dobro, do którego dążą i które starają się osiągnąć zapomocą wszelkich, możliwych środków. Mniejsza o to, czy są one godziwe, dewizą ich bowiem jest hasło: „Cel uświęca środki“. Nie widzą więc celów innych, ogólnoludzkich; nie starają się uczynić nic takiego, co by przyniosło wszystkim korzyść i pożytek; dlatego też po śmierci wszyscy o nich zapominają. Nie zasłużyli sobie na wdzięczną pamięć. Nikt też za życia do nich nie lgnął, nie przywiązał się, gdyż odpychali wszystkich od siebie. Sądziли, że są lepszymi od innych i z tego względu mają prawo deptać i niszczyć wszystko, dążąc do osobistego szczęścia. Takie postępowanie mogło ściągnąć na nich tylko co najwyżej nienawiść. Starość pochyliła im czoła ku ziemi i przyćmiła wzrok do tego stopnia, że obejmują nim jedynie mały krąg wkoło siebie. Krąg ten zamyka sprawy i rzeczy, tylko ich dotyczące, a nie obejmuje spraw i interesów ludzkości. Dzieje się zaś tak dlatego, że wzrok ich jest tępy, osłabiony egoizmem i małostkowością, zepsuty rozpatrywaniem drobnych, przemijających, a często niepotrzebnych rzeczy. Do pojęcia bowiem i rozumienia wielkich zagadnień, do osiągnięcia wyższych ideałów nie wystarcza wzrok ziemski i rozum,—należy go spotęgować, uzbroić uczuciem, do którego oni właśnie nie są zdolni.

Zostawia więc poeta tych mieszkańców starego świata samym sobie i zwraca się do młodości, pełnej sił i niespożytej energii, tężyzny, nie tylko cielesnej, lecz i duchowej, pełnej entuzjazmu i umiłowania ludzkości. Braterstwo i miłość jest dla niej takim samym nektarem, jakim była ambrozja dla bogów olimpijskich. One jej podsuwają sposobność zużytkowania energii nadmiernej i sprowadzenia szczęścia nie tylko sobie, lecz i innym, przez co zyskują zadowolenie moralne i niebiańską radość.

Wzniosłe to cele, ale osiągnąć je można tylko wspólnymi siłami. Dlatego też serca młodości po wesele jedynie wtedy, kiedy połączy je „nić miłości złota“. Nie wolno jej gnuśnieć leniwie, lecz wzbijać się ponad poziomy, nieść się na takie szczyty, skąd mogłaby objąć wzrokiem całą ludzkość, cały wszechświat. Poeta więc każe młodości stać się jakoby drugim słońcem dla ludzkości i światłem nowych ideałów przebić ciężkie mroki przesądów.

Ale na to trzeba stoczyć bój ze starym światem i dopiero na ego gruzach świetlaną budować przyszłość. A bój ten nie łatwy będzie!

Należy się przeto skupić i obmyślić środki, a rozum uzbroić „szaleń“ — entuzjazmem, uczuciem. Rozum bowiem z natury swej jest zimny i wyrachowany, więc mierzy zamiary podług sił. Tu zaś wobec tak olbrzymiego przedsięwzięcia, jak zmiana podstawowych zasad istnienia ludzkości, mógłby się uląć, zdawałoby się mu, że to nie jest możliwe do wykonania, że wszystko to — szaleństwo; więc też należy go wzmóc takim zapalem, ażeby nie zważał na ogrom przeciwności, a widział przed sobą jedynie cel, który musi osiągnąć.

I wtedy wszystko stanie się możliwym, bowiem potężna wola i chęć przemożna „góry przenosi“, jak mówi przysłowie, a cóż dopiero, gdy tym zapalem, tą chęcią i wolą milionów będzie kierował wspólny, przewidujący wszystko, intuitywny rozum.

Poeta nie ukrywa bynajmniej trudności, piętrzących się na drodze do celu, nie ukrywa tego, że nie wszyscy cel osiągną, gdyż każde zwycięstwo potrzebuje ofiar, lecz woła zarazem, że nawet ci, którzy polegą w boju, przyczynią się do ogólnego zwycięstwa. Ofiary ich będą stanowiły jak gdyby pomost, wiodący do nowego, lepszego świata, do tego grodu sławy, którego mieszkańcy nigdy nie zapomną, komu winni swe szczęście, i wciąż ich otoczą na wieki.

Wspominając o stromej i śliskiej drodze i o sławy grodzie, mam wrażenie, że w tym obrazie skojarzyły się w umyśle poety nowe wyobrażenia z dawnymi, może w dzieciństwie tkwiące wspomnieniami o szklanej górze. Tam to miał stać pałac przepiękny, czarowny, a w nim zaklęta, przez moce złe więziona, królewna — jutrzienka. I którą uwolni? Zapewnie śmiały junak, którego czeka szczęście wraz z ręką królewny. I śmiałków tysiące wspina się po śliskim szkle — hen! do góry! na szczyt! do szczęścia! Ale giną wszyscy, a kości ich bielegają u podnóża góry, jakby na przestrogę innym szaleńcom. I zdaje się, że już nikt nie zdejmie czaru z królewny, nikt nie pokusi się o szczęście. Ale to próżna obawa — ludzkość będzie wiecznie dążyć do szczytu, nie bacząc na ofiary i trudy, aż znajdzie się wreszcie taki, co uwolni królewnę! Zapewne będzie to jakiś genjusz — wielki wódz, albo poeta.

Ale przemoc starego świata mimo wszystko nie jest największą przeszkodą na drodze do szczęścia ludzkości. Większym po stokroć jest wróg, tkwiący w nas samych,—słabość ducha, chwiejność woli, która może załamać się i upaść przed progiem zwycięstwa. Trzeba więc najpierw wyrwać ją z siebie nakształt zabójczego chwastu, a następnie uzbroić się puklerzem niezachwianej wiary w zwycięstwo idei. Duch nasz winien być silnym, a wola niezłomną.

W tym celu należy od dzieciństwa hartować się i sposobić do wielkich zadań. Bierzmy przykład z dawnych herosów — woła poeta. Kto umiał „dzieckiem w kolebce łeb urwać hydrze“, ten w młodości „zdusi centaury, piekłu ofiary wydrze“, a po laur zwycięski do niebios sięgnie.

Wypowiadając te słowa, myślał prawdopodobnie młody wieszcz o własnej, nieszczęsnej ojczyźnie, która, rozdarta przez trzech wrogów, oczekiwała takiego wybawcy. Porównuje ją do ofiary, wydanej piekłu na pastwę, — i słusznie, gdyż nasi zaborcy wyteżyli wszystkie swe siły, ażeby ją jak najbardziej spętać i umęczyć, odbierając świętości narodowe, jak język, religję i historję. Poeta ufa w wybawienie jej przez młodość, gdyż wierzy w jej siły. Potęga bowiem młodości potędze orlej dorównywa. A uderzenie jej ramienia jest szybkie, jak błyskawica i jak piorun druzgocące wszystko, gdyż młodość w czynności swoje wkłada zawsze cały zapal ducha.

I nie zawodzi się poeta. Oczyma duszy, w jakimś jasnovidzeniu niezwykłym, patrzy jak młodzież koncentruje swe siły i łańcuchem wspólnych chęci opasuje ziemię. Widzi, jak przez zlanie się dążeń, myśli, duchów i sił w jednym ognisku i w jednym kierunku, nabiera takiej potęgi i mocy, że rusza z miejsca i ożywia zmartwiałą bryłę świata, toczy ją, wprowadza na nowe tory życia. Widzi, jak ta ziemia wyzbywa się stopniowo starej, spleśniałej kory przesądów, jak na niej poczyną panować znowu dobro, niby w owym dawnym, złotym wieku.

I w przepięknym, a jednocześnie potęgą tchnącym obrazie, ukazuje nam wyłanianie się tego świata na wzór stworzenia go przez Boga. Zdaje się nam, że widzimy ten chaos, zamęt i bezład, panujący przed stworzeniem; jak owa potworna mieszanina skłębionych żywiołów przewala się, wiruje i zapelnia sobą otchłanną przestrzeń; jak nagle, na jedno słowo Boże: „Stań się!“ — wszystko się uspaka — wtlacza się i wstępuje w nowe formy, a na świecie zapanowuje ład i harmonja.

I teraz również panuje noc głucha i martwa na ziemi. Ale już zjawiają się zwiastuny nowej ery, którzy mącą jej dotychczasową martwość i walczą o lepszą przyszłość. Walczą jednak bez skutku, gdyż najpotężniejsza broń jeszcze nie została użyta. Lecz z chwilą, gdy miłość, buchająca ogniem, zjawi się na polu walki, padnie w gruzy skruszony i spopieleny jej żarem świat stary. Miłość pociągnie za sobą miliony i nic nie będzie w stanie jej się przeciwstawić. Ona, starszy w proch wszystko, co nieużyteczne, stworzy nowy świat ducha. Pod tchnieniem jej prysną lody wzajemnej niechęci wśród narodów i przesady, nie pozwalające widzieć i rozumieć dobra, które wynika z bratniego współżycia ludzkości. Wtedy już nie będzie narodów wolnych i niewolnych, ponieważ wszyscy narówni będą mogli korzystać ze wspólnych owoców swej pracy, w co poeta niezachwianie wierzy.

Takie to idee głosi Mickiewicz w „Odzie do młodości”. Nie są one coprawdą nowe, bo odpowiadają całkowicie hasłom i zasadom wieku Oświecenia, ale zostały skąpane już w ożywczem źródle romantycznych natchnień. On, romantyk, używa do zwalczania racjonalizmu, jego własnych haseł, podanych jedynie w sposób romantyczny, bo z entuzjazmem, nie na zimno, jakby to uczynili racjoniści.

Forma utworu, oda, również nie jest nową i odrębną, gdyż używano jej już w starożytnej Grecji i Rzymie, a następnie popisywali się nią nawet pseudoklasykcy nasi n. p. Koźmian, Osiński i inni. Otóż ci pseudoklasykcy, którzy pragnęli stworzyć dla każdego rodzaju poezji właściwe normy, obowiązujące poetę, i odzie narzucili pewne przepisy. Mickiewicz, który, jak wspomniałem, nie zdołał się jeszcze w tym czasie otrząsnąć zupełnie z wpływów Oświecenia, tworzył ode zgodnie z owymi regułami. Temat jej jest więc ogólnoludzki, poeta bowiem odnosi się i zwraca do młodości, która jest uosobieniem całego młodego pokolenia. Prócz tego, zagadnienia poruszane w utworze, interesowały zawsze i będą interesować ludzkość. Wszystkie bowiem jej dążenia i starania będą się ciągle obracały około ulepszenia istniejących stosunków i zapewnienia wszystkim względnego szczęścia. Zawsze znajdą się też umysły, których nie zadowolą dotychczasowe formy bytu, one zechcą go poprawić przez wprowadzenie w życie lepszych, bardziej uszlachetniających człowieka idei.

W „Odzie” musimy przytem zauważyć niesłychane bogactwo myśli i oddających je, konkretnych, przepięknych obrazów. Poeta wyraża je krótko i jasno, że musimy podziwiać, iż, w tak stosunkowo małym utworze, zdołał umieścić i scharakteryzować doskonale aż trzy światy. Jednym ze środków artystycznych sugestyj są kontrasty n. p. mroczny świat stary i świetlany młody i t. d. Zwroty są silne i śmiałe. Obrazy i nastroje zmieniają się szybko, jak w kalejdoskopie, tak, że czytelnik, odnajdując coraz to nowe bogactwa, nie nuży się, lecz z wzrastającym wciąż zainteresowaniem pochłania utwór i poddaje się czarowi poezji.

Budowa wierszy, a następnie rytm i rym są nieregularne, stosownie do wyrażonego uczucia. Trudno bowiem, żeby poeta, wylewając nadmiar uczucia, pamiętał o przepisach co do równości zgłosek, jednostajności rytmu i zgodności rymu; zresztą uczucie jego w tym wypadku straciłoby swą żywość i stałoby się sztucznem. „Oda” przytem pełną jest porównań, omówień i uosobień, do spotęgowania zaś uczucia i wywołania odpowiedniego nastroju poetyckiego używa poeta powtórzeń i stopniowania.

Przechodząc teraz od analizy do syntezy, stwierdzić należy, że wiara w nieomyślność głoszonych przez siebie idei dała poecie tę siłę uczucia, z którą wypowiedział się w „Odzie”. Wierzy on w orlą potęgę młodości, w jej zapalczywość i wie, że tylko tacy ludzie potrafią schwycić i osiąść los. Dlatego żywi kult dla młodości, sam czując się potężną, młodą jednostką, która wie, gdzie podobne duchy na bój — do zwycięstwa. Stąd, jako wódz-orzeł, staje poeta na czele orłów gotowych do lotu i wskazuje im cele wzniosłe i chlubne. Stawia im przed oczy olbrzymią, nieśmiertelną sławę, która czeka tak żywych jak umarłych u przyszłych pokoleń. Wszak prawdziwą potęgę zdobywa się jedynie przez pokonywanie piętrzących się trud-

ności i przeciwieństw — walka potęguje istotną wartość duszy ludzkiej. Nędzna pospolitość nie może być udziałem ducha, rwącego się do wielkich rzeczy — ma też ona w poecie najzagorzalszego wroga. Chłopszcze przyziemność straszliwą wzgardą i pragnąłby ją zdeptać jak płaza. Bo oto idzie czas wielkich indywidualności; ludzkość zrozumiała istotę ducha — atmosfera przygotowana — tylko rozdmuchać iskrę i iść naprzód, nie oglądając się na nic — w sobie samych czerpać podniecie do czynu. To też żywym i umarłym przepowiada wielkość. Moment dziejowy rozumiał — czuł, że wymaga on stanowczej, szybkiej decyzji — a nie powolnego rozważania; dlatego woła: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił“, bo duch jest nieobliczalny w swej potędze, „zwycięstwo liczby nie chce — męstwa potrzebuje“, jakby powiedział Kochanowski. Chwila dziejowa potrzebuje silnych temperamentów, uskrzydłych uczuciem raczej, niż rozumem, a raczej uczuciowym rozumem intuicyjnym.

I w natchnieniu widzi poeta wizję przyszłego, odrodzonego świata — upaja się tem szczęściem, że to uskutecznią młodzież, której on rzucił święte hasła, ukazał cele, zapalił i poprowadził do wspianego zwycięstwa w duchu i czynie.

Z upojeniem entuzjastycznym maluje obraz przyszłości. W tym nowym świecie niema więzów i oków — to epoka swobody wszystkich ludów i epoka zarazem braterstwa wszystkich — oto Młoda Polska, przeciwstawiona starej — nowa odrodzona ludzkość — ludzkości przeżytej, przeżartej racjonalizmem, skrupowanej nie tylko na duchu, lecz i na ciele, duszącej się w despotyzmie — w tej okropnej władzy, najokropniejszej — bo bez miłości.

„Oda“ jest przeto potężną pieśnią miłości i wolności, i słusznie możemy ją zaliczyć do najcenniejszych klejnotów nie tylko naszej, lecz i ogólnoludzkiej literatury.

Franciszek Ksawery Józwiak, kl. VII.

Na szczyty.

*Pełen sił ducha, zapału,
Młodzieńcze stawiaj stopy --
Dąż z mocą do ideału,
Życia zdobywaj okopy!*

*W drodze swej nie znaj tam,
Na wiedzy wspinaj się szczyty,
Odwagi! a pierzchnie kłam!
Rozwidniaj się błękity!*

*Nie żałuj nigdy młodych sił,
Bo praca szczęście daje,
Bo pracą wskażesz, żeś tu żył,
Że coś po tobie zostaje!...*

*I nie patrz nigdy poza siebie --
Tam nie dla ciebie życie --
Nie ustań w pracy, choćby już
Stanął na samym szczycie.*

Aleksander Kulczyński, kl. VI.



FRAGMENT BIBLIOTEKI SZKOLNEJ

Idee kierownicze włoskiego Odrodzenia.

W średniowieczu posiadały Włochy wysoką cywilizację, lecz nie miały spójni narodowej, ponieważ cała Italja podzielona była na drobne księstwa, które pomiędzy sobą ciągle prowadziły wojny. Każde z nich uprawiało też na swoją rękę politykę i handel, nie rozumiejąc, że rozczłonkowanie w społeczeństwie nie przedstawia żadnej siły odpornej przeciw państwom germańskim, roszcującym sobie pretensje do Włoch. Prócz tego, każde z tych państewek chciało mieć na tronie papieskim swego rodaka, by móc wywierać wpływ na inne. Wtedy to, w latach najzacieklejszych walk partyjnych, gdy papież przebywał poza granicami Włoch, w Awinionie, emigranci włoscy, a między nimi przede wszystkim wielcy poeci Dante i Petrarka, cierpiąc z powodu upokorzenia swej ojczyzny, stworzyli nowy obraz duchowy Włoch, przez co stali się głównymi twórcami wielkiego Odrodzenia.

Petrarka w elegjach swych opłakuje upadek i zmierzch władzy i potęgi Rzymu, a Miasto Wieczne ukazuje jako chorą staruszkę.

W utworach jego poetyckich całkiem jasno i wyraźnie występuje już idea odrodzenia narodowego i powrotu idealnego wieku, którym była według niego starożytność rzymska. Włosi też uznali ją za swoją narodową przeszłość i zaczęli się na niej wzorować. O wiele ważniejszą jednak, aniżeli twórczość literacka i poetycka, miała się stać działalność polityczna Włochów. Idea odrodzenia państwa i nowego życia kielkowała już w czasie bezkrólewia, ale niewola awinjońska i grożący Rzymowi upadek, przyczyniły się do tem większego jej wzrostu. W czyn usiłuje wprowadzić ją słynny trybun ludu, Cola di Rienzo, który uważa się za posłannika bożego i marzy o odbudowaniu Rzymu, a zarazem zjednoczeniu Włoch na podstawie narodowej, wprost przeciwnej wschodniej monarchji bizantyjskiej. Wychodząc z założenia, że pryncypat Augusta opierał się na potędze trybunatu, odnowił go i przyjął nawet miano Augusta. Studjował on z zapałem starych autorów rzymskich, jak Liwjusza i Wergilego, intersował się ruinami Rzymu, odczytywał stare napisy na pomnikach i stąd czerpał podniecie i zapał do popierania odradzającej się kultury, do przywrócenia dawnej świetności państwa.

Odrodzenie religijne natomiast zapoczątkował św. Franciszek z Assyżu. Prosty, naturalny, szczery pogląd na religję chrześcijańską, wyrażony w kazaniach i poezjach, powołał do życia nową sztukę chrześcijańską, a właściwy Franciszkowi i jego uczniom zwrot do kontemplacji, wpłynął na pogłębienie zajęcia się przyrodą, w której zaczęto widzieć obraz boski. Kościół Katolicki również potrzebował odrodzenia i to duchowego. Szczytna bowiem z punktu widzenia chrześcijańskiego idea Grzegorza Wielkiego, złączenia w Kościele władzy świeckiej i duchownej, doprowadziła do zbytniego uświatowienia Kościoła.

Równocześnie z nadwątleniem ducha religijnego w społeczeństwie, uwidaczniał się powolny upadek moralności. Ludzie głębiej patrzący rozumieli to położenie, szukali więc sposobów ratunku i zwrócili się po nie do wiary i starożytności. Korzystali oni zarówno

no z dzieł łacińskich, troskliwie przechowywanych w klasztorach Zachodu, jak i greckich, które przywozili ze sobą uczeni Wschodu, prześladowani przez Turków. Pod wpływem tych czynników, szczególnie po upadku Konstantynopola, powstał na Zachodzie nowy prąd umysłowy, zwany humanizmem.

Prąd ten ujawnił się zarówno w nauce, sztuce, jak i całym życiu narodów. Znajomość literatury starożytnej wywarła wpływ na ukształtowanie się ich ducha i smaku. Czytelnicy dzieł starożytnych przejmowali się ich piękną formą, sami nawet usiłowali wyrażać swe myśli w sposób jasny i wytworny. Ruch humanistyczny odciągał uwagę od drobiazgowych dociekań abstrakcyjnych, a budził zamiłowanie i zainteresowanie dla spraw życiowych człowieka, przedstawiał jego walki i dążenia, dawał poznać go we wszystkich jego upodobaniach. Humanisci buntowali się przeciw zasadom krępowania woli ludzkiej, a za zasadę rozwoju przyjęli rozwój indywidualności i swobodę ruchów jednostki. Ciekawa rzecz, że swoboda ta została doprowadzona później aż do karykatury i niedorzeczności.

W humanizmie samym możemy rozróżnić dwa kierunki — chrześcijański i pogański. Humanisci chrześcijańscy, których poprzednikami byli poniekąd wyżej wspomniani poeci, ceniąc zasady chrześcijańskie, usiłowali na wzorach klasycznych udoskonalić języki narodowe, a przez to przyczynić się do rozkwitu literatury ojczystej. Korzystali oni umiejętnie z dzieł klasycznych, biorąc z nich to, co było zgodne z duchem Kościoła.

W ten sposób pracom swym nadali piękną formę, głęboką treść śchrześcijańską i wnieśli rzeczywiście do życia umysłowego nowe czynniki. Zajmowali się też usilnie ulepszeniem wychowania, bądź w sposób praktyczny, bądź pisząc w tym kierunku dzieła. Prąd ten popierali gorąco zarówno dostojnicy świeccy, jak i duchowni.

Humanisci natomiast pogańscy wzorowali się na starożytności, bez oglądania się na Kościół. Co gorsza, przejęci duchem pogańskim, prowadzili życie niemoralne, a w pismach swych na miejsce cnoty chrześcijańskiej, postawili epikurejską zasadę używania. Za ich to wpływem spotęgowała się nieobyčajność, nastąpił zanik życia rodzinnego, w polityce uświęcono prawo silniejszego. Wielbili oni przesadnie starożytność klasyczną, przyznając jej bezwzględną wyższość nad chrześcijaństwem i ze wzdargą spoglądali na języki narodowe. Radzili nawet, by już małe dzieci uczono mowy klasycznej, a nie narodowej. Wszystkie szkoły przez nich prowadzone, odwracały się prawie od badania natury, a wykształcenie zasadzały jedynie na książkowej znajomości klasyków i na wytworności stylu łacińskiego i greckiego. W polityce jedni, jak Macchiavelli, zachwalali książętom absolutyzm, drudzy krzewili między poddanymi republikańskie poglądy dawnych Greków i Rzymian.

Występowali oni nie tylko przeciw scholastykom, ale i przeciw samemu Kościołowi Katolickiemu, podkopując u wiernych powagę Stolicy Apostolskiej i stanu duchownego. W życiu praktycznym byli humanisci pogańscy ludźmi zręcznymi, lecz obłudnymi, którzy umieli skarbić sobie względy możnych. Przyczyniało się to z jednej strony do ich wzbogacenia, a z drugiej utrudniało odróżnienie ich od hu-

manistów chrześcijańskich, bo w razie potrzeby umieli pisywać budujące listy do królów, znanych z przekonań katolickich i jednali sobie ich poparcie i opiekę.

Jedno z haseł humanizmu, jak wspomniałem już powyżej, stanowił skrajny indywidualizm — to jest pogląd, że jednostka w sobie samej szuka źródeł odrodzenia, mocy i uważa siebie za najwyższy autorytet we wszystkich sprawach. To rzecz bardzo ważna.

W wiekach średnich, jednostka nigdy nie wybija się z tłumu, obecnie zaś humaniści uważają tłum za masę nierozumną, którą należy opanować, a rolę władców oddają w ręce wybitnych jednostek.

Odtąd jedynym autorytetem stało się własne „ja“, jedyną drogą do wybicia się z tłumu — twórczość we wszystkich dziedzinach, ponieważ tylko w niej może się przejawiać siła i potęga jednostki. To też dążyli humaniści do wpływu na otoczenie, a tem samem i do sławy. Podobnie, jak w poezji, tak i w plastyce wzrosło poczucie własnej wartości i przekonanie, że starożytna sztuka nie jest niczem większem ni lepszem od własnej. I to było dobre.

Styczność z Grekami podczas układów o unję kościelną w roku 1439, a jeszcze więcej wpływ uczonych greckich po upadku Konstantynopola, przyczyniły się do wzmożenia tego prądu.

Początkowo główne ognisko odrodzenia i kultury mieściło się we Florencji. W krótkim jednak czasie przewyższył ją na tem polu Rzym, gdyż w nim rezydowali papieże. Posiadali oni wspaniałe dwór, przepełniony dostojnikami kościelnymi, sami zaś, przejęci ideami humanistów, pragnęli miastu przywrócić ową dawną świetność, jaką błyszczało niegdyś. Starali się więc skupić około siebie wielkich uczonych i artystów, gromadzili cenne zabytki kultury, zakładali biblioteki i budowali wspaniałe gmachy. W tym to czasie, za rządów Mikołaja V, powstała w pałacu watykańskim jedna z największych bibliotek świata. Przystąpiono również do budowy kościoła św. Piotra, którego to dzieła dokonał Bramante, jeden z najświetniejszych architektów epoki Odrodzenia. Samego zaś wykończenia tej monumentalnej budowli podjął się po śmierci mistrza, Michał Anioł Buonarrotti, zarówno genialny artysta, jak myśliciel.

Z najcenniejszych jego dzieł na szczególną uwagę zasługuje fresk w kaplicy Sykstyńskiej, wykonany na ścianie ołtarzowej p. t. „Sąd ostateczny“ i wiele innych tworów sztuki plastycznej.

Wogóle malarstwo i rzeźba w tym okresie doszły do niezwykle go rozkwitu. Malarzami byli zakonnicy i świeccy. Największą sławę zdobyła sobie szkoła florencka, gdzie pracowali Giotto, uważany za ojca malarstwa włoskiego, Leonardo da Vinci, twórca Wieczery Pańskiej w Medjolanie i wspomniany wyżej Michał Anioł. W architekturze zwycięża idea budowy centralnej, zaczerpnięta ze starożytności, a wzorowana na Panteonie. Tu wskazuje starożytność cele i drogi, ale tylko na chwilę, albowiem podczas rozkwitu klasycznej sztuki renesansu, łączy się narodowa kultura ze starożytną i to połączenie dopiero daje najwspanialsze wyniki.

I tak w rozwoju włoskiej sztuki Odrodzenia można odróżnić trzy epoki. W pierwszej widzimy dopiero zaznaczający się wpływ twórczości starożytnej, w drugiej ma ona znaczenie decydujące, a w trzeciej występuje już w łączności z kulturą narodową.

Stosunek do starożytności rzymskiej był we Włoszech zrazu reakcją narodową przeciw zagranicy, a zwłaszcza Francji i Niemiec.

Stąd też chwila narodzin renesansu stała się zarazem chwilą narodzin nowoczesnej świadomości narodowej. Z tego więc narodowo-włoskiego punktu widzenia ujęty w swych początkach prąd ten jest takim samym zwrotem do przeszłości narodowej, jak nim był później romantyzm. Niezadowolony z teraźniejszości, chciał pokazać współczesnym obraz dawnej świetnej przeszłości.

W drugiej połowie XIII-go wieku pisali poeci włoscy w języku prowansalskim oraz francuskim i chociaż we Włoszech środkowych powstała już nowa liryka w języku włoskim, pozostawała ona jednak w wielkiej mierze pod wpływem wzorów obcych. Otóż z tej to duchowej niewoli Włosi postanowili się uwolnić. Renesans zaś miał za zadanie dać im narodową poezję, formę i styl.

To poczucie narodowe jest jeszcze w początkach dość niejasne, a całe pojęcie ojczyzny dość mgliste, lecz jest ono charakterystycznym objawem ogólnego odrodzenia. Na istotę więc i „ducha“ naszej epoki składają się trzy zasadnicze pierwiastki: kult sztuki, żądza wiedzy i pragnienie sławy, które wyciskają na niej charakter głęboko indywidualistyczny.

Do podniesienia jednak i uszlachetnienia warstw przodujących we Włoszech XV i XVI-go wieku nie przyczynił się Renesans wcale.

Nauczył on je myśleć krytycznie, uwielbiać kulturę grecko-rzymską, buntować się przeciw autorytetowi, wierzyć w wszechmoc człowieka, żyć na ziemi po ziemsku, rozkoszować się wdziękiem sztuki plastycznej, upajać się podnieceniami zmysłowemi, ale o wychowaniu etycznym nie pomyślał.

Przeciwnie! Ubóstwiwszy człowieka, wydrwił i zburzył etykę, najbogatszy dorobek, najnowszy kwiat chrystjanizmu i średniowiecznego ustroju społecznego. Popęłnił on ten sam błąd, jaki popełniają wszystkie gwałtowne przewroty wogóle. Zamiast usunąć przestarzałe formy, oczyścić gmach przyszłości z niepotrzebnych chwastów i budować dalej trwały, wygodniejszy dom dla ludzkości, oparty na mocnych podwalinach etyki i tradycji, usiłował zniszczyć odrazu wszystko, co ustaliło doświadczenie długiego szeregu pokoleń, mniemając, że on dopiero wskaże najlepszą drogę do szczęścia.

Za wiele zaufał „Renesans“ włoski sile człowieka. Odczuwali to to zresztą wybitniejsi przedstawiciele Odrodzenia, ale niestety dopiero zwykle na łożu boleści, w obliczu śmierci.

Dopóki im zdrowie służyło, używali życia, nie dbając o pokarm dla duszy. I za ten egoizm, za bałwochwalstwo rozumu i kult ciała zapłacili Włosi drogo. Łaknąc jak najszerzej wolności, doszli do swawoli, z pod autorytetu legalnej władzy dostali się pod bezwzględny tyranję kondotjerów. Zgnuśniali w dobrobycie, w rozpuście, w krytycznym mędrkowaniu i stali się wreszcie tak bezsilni, że nie byli nawet zdolni do odparcia najazdu Hiszpanów i Francuzów.

To wszystko wskazywałoby nam, że każdy, choćby najświetniejszy prąd kulturalny ma swoje dobre i złe strony. Nie należy jednak z tego powodu wyciągać wniosków zbyt pesymitycznych — a wzbogacać życie, czerpiąc z dorobków wieków — tem — co dodatnie, odrzucać zaś to, co ujemne.

Henryk Aniwek, kl. VI.

Polska wobec „nowinek” religijnych.

Na czasy panowania Władysława Jagiełły przypada okres smutnego rozdzielenia w łonie Kościoła Katolickiego. W tym to czasie dwóch papieży, jeden w Rzymie, drugi w Awinionie od 1378 roku wzajemnie się zwalczało. Duchowieństwo zaś rekrutujące się przeważnie z ludzi zdolnych i ambitnych, wynoszonych przez władzę świecką na wyższe godności kościelne, więcej dbało o karierę i dobrobyt materialny, niż o dobro Kościoła. Stanowiska opatów dostają się również w ręce ludzi niepowołanych, dlatego też wzrasta rozprzężenie w klasztorach.

Rozsądniejsze jednostki ze zgrozą patrzyły na te stosunki i coraz głośniej domagały się reformy, zwłaszcza gdy ta zawiodła na soborze w Pizie i Konstancji. Niecierpliwi zaczęli na własną rękę głosić reformy. Do takich należał przedewszystkiem Jan Wyclif, którego poglądy przejął profesor wszechnicy praskiej, Jan Hus, wielki patriota czeski i osobisty wróg Niemców. J. Hus wystąpił z rewolucyjną wprost zasadą, że wolność ewangeliczna polega na tem, ażeby słuchać tylko takich przełożonych, którzy nie popełnili śmiertelnego grzechu. Na soborze w Konstancji został uznany za heretyka i potępiony, a gdy nie chciał odwołać swoich błędów, poniósł śmierć na stosie.

Wieść o spaleniu Husa wywarła wielkie wrażenie wśród Czechów, którzy pod hasłem husytyzmu wystąpili przeciw gniołącemu ich żywiołowi niemieckiemu i odnosili świetne zwycięstwa.

Nie posiadając zaś rodzimej dynastji, komuż, jeżeli nie zwycięzcy z pod Grunwaldu, Jagielle, mieli ofiarować swą koronę? Pod jego to mądrymi rządami miały się połączyć dwa bratnie narody w jedno potężne państwo słowiańskie. Poczucie bliskiego pokrewieństwa tkwiło w umysłach Polaków, a nienawiść ku wspólnemu wrogowi, Niemcom, bratała w naturalny sposób te dwa słowiańskie narody, których krew spłynęła na polach Grunwaldu.

Z tego to względu husytyzm coraz większe robił postępy wśród niższego duchowieństwa i rycerstwa polskiego. Panowie polscy, niechętni rządowi hierarchji kościelnej, pod hasłem połączenia Czech z Polską utworzyli odrębne stronnictwo husyckie. Myśl zjednoczenia obydwóch narodów była niewątpliwie wielką, ale też nie była pozbawiona wielkich stron ujemnych. Gdyby Polska przerzuciła się na stronę husytów, utraciłaby wówczas swe dominujące stanowisko w świecie katolickim, które zdobyła za pośrednictwem swych biskupów na soborze w Pizie, a przedewszystkiem w Konstancji. Z tem utraciłaby zarazem najskuteczniejszą broń swoją w walce z Krzyżakami. Przyjąwszy husytyzm, zwróciłaby na siebie krucjaty Zachodu, a tem samem dopomógłaby do odrodzenia złamanego na polach Grunwaldu Zakonu. Mieszając się w sprawę czeskie, odwróciłaby uwagę od świeżo nawróconej Litwy, gdzie dumny Witold po bitwie Grunwaldzkiej odmawiał Polsce poparcia w walce z Krzyżakami i wszelkimi sposobami popychał ją ku Czechom, myśląc równocześnie o wyzwoleniu się z pod zwierzchności Jagiełły. W tym celu porozumiewał się również z cesarzem Zygmuntem. Ruch husycki

udzieliłby się przedewszystkiem żywiołom najbardziej niespokojnym i napewno zwróciłby się przeciw warstwie rządzącej podówczas, t. j. przeciw hierarchji kościelnej. Takie były najważniejsze przyczyny, które powstrzymały dobrze myślących od ujęcia się za sprawą husycką.

W 1420 roku stronnictwo t. zw. „umiarkowanych husytów“ dwukrotnie wysyłało do Jagiełły poselstwa, ofiarując mu koronę. Witold i stronnicy husytów w Polsce nakłaniali króla do przyjęcia korony, gdy jednak sprawę tę wniesiono na zjazdach w Lublinie i Łęczycy, zwyciężyło stronnictwo katolickie i posłów odesłano z odpowiedzią, że gdy Czesi pogodzą się z Rzymem, Jagiełło przyjmie ich koronę. Pozwolono jednak Witoldowi wziąć czynny udział w walkach czeskich. Ten wyprawił z pięcioma tysiącami rycerstwa księcia Zygmunta Korybuta. Resztę narodu uspokojono odnowieniem sprawy odzyskania Śląska. Naród Polski, zajęty walką z Zakonem, znalazł upust dla swego temperamentu, a duchowieństwo, z genialnym przewodnikiem Zbigniewem Oleśnickim na czele, umiało oddalić szkodliwe następstwa ruchu husyckiego. Synod w Kaliszu 1420 r. pod przewodnictwem prymasa Mikołaja Trąby, zaprowadził inkwizytorów herezji husyckiej, a w roku 1424 uzyskano na Władysławie Jagielle sławny edykt wieluński, zapewniający Kościołowi egzekutywę starostów grodowych, wyrażającą się w konfiskacie dóbr wyklętych. Tak więc Polacy ostatecznie, dzięki zabiegom duchowieństwa, odstąpili od sprawy czeskiej, a husytyzm, pomimo, że miał początkowo dość licznych zwolenników, zaczął się chylić do upadku. Pozostawił on jednak wśród szlachty pewne sympatje, które z chwilą wybuchu reformacji luterskiej, znalazły oddźwięk w narodzie.

Reformacja ta w XVI w. z zastraszającą szybkością zaczęła szerzyć się w krajach Europy Zachodniej. W Polsce natrafiła również na grunt przygotowany. Przedewszystkiem humanizm, budząc zapal dla ideałów klasycznych, niejednokrotnie podkopywał znacznie powagę Kościoła, wyziębł ducha dawnej pobożności, a stąd osobistości, sprzyjające jego hasłom, otrzymywały wyższe dostojeństwa kościelne.

Duchowieństwo niższe, naogół niewykształcone, uciskane częstokroć nie tylko przez panów świeckich, ale i przez biskupów i dygnitarzy kościelnych, nie umiało należycie pracować nad powierzonym sobie ludem, niewiele troszczyło się o sprawy religijne wiernych.

Zepsucie dworów, datujące się od czasów Bony Sforzy, która zaszczerpiła u nas intrygi i przekupstwo, również nie sprzyjało kultywowaniu uczuć religijnych i etycznych. Bona źle wychowała syna, Zygmunta Augusta, który w rzeczach wiary zajmował stanowisko dwuznaczne i otaczał się nowowiercami. Pycha zaś możnowładców i szlachty, osłabiając coraz bardziej władzę i powagę króla, dążyła do wyzwolenia się z pod praw Kościoła. Lud prosty, pozbawiony światłych przewodników, wskutek tego obojętny dla wiary, chętnie przyjmował nowinki religijne, które dochodziły do Polski za pośrednictwem młodzieży, kształcącej się zagranicą. Prąd reformacyjny najwcześniej pojawia się w miastach pruskich, gdzie tamtejsze mieszczaństwo przyjmowało go z sympatją dla swych pobratymców, jako wytwór ducha germańskiego. W niektórych miastach, zwłaszcza w Gdańsku i Toruniu, mieszczaństwo — Niemcy zaczęli burzyć kościo-

ły, wyszydzać obrzędy katolickie, prześladować duchowieństwo. Ta ich działalność skłoniła Zygmunta Starego do ostrego wystąpienia przeciw luteranizmowi. Rozruchy w Gdańsku zostały stłumione orężem. Gdańsk musiał się upokorzyć i wydać w ręce królewskie przywódców buntu. W mieście przywrócono spokój i wiarę katolicką, a zwolennicy herezji musieli opuścić Gdańsk w ciągu 14-tu dni pod karą gardła. Król w porozumieniu z niektórymi biskupami, szczególnie z P. Tomickim z Krakowa, usunął od urzędów tych, którzy ukończyli studia na uniwersytetach niemieckich, a w 1523 r. wydał dekret, zakazujący pod karą śmierci czytania i rozszerzania dzieł Lutra. Edyktu tego jednak nie wykonywano. Mieszczaństwo utrzymywało stosunki handlowe z Niemcami, przyjmując stamtąd „nowinki” religijne, młodzież zaś w dalszym ciągu wyjeżdża na uniwersytety niemieckie, a rozpowszechniona sztuka drukarska umożliwia sprowadzanie protestanckich książek. Na dziedzińcach uniwersytetu krakowskiego sprzedawano je i rozchwytywano. W krótkim czasie prądowi temu uległa Wielkopolska, stąd przedostał się do Małopolski i na Litwę, gdzie oprócz mieszczaństwa przyjęła go znaczna część szlachty. Sprzyjał mu również Jakób Uchański, późniejszy prymas, który z Modrzewskim, Rejem i innymi brał udział w zebraniach inowierców. Tak więc zaledwie kilka lat minęło od chwili wystąpienia Lutra, a większość szlachty, mieszczaństwa, a nawet niektórzy z duchowieństwa zaczęli się skłaniać do nowego kierunku.

Luteranizm najwięcej zwolenników znalazł wśród mieszczan, podczas, gdy wśród szlachty szerzył się bardziej kalwinizm, którego wyznawców nie brak było nawet wśród najmożniejszych rodów rycerskich. Jak np. Zborowskich, Firlejów, Myszkowskich, Górków, Ostrogów, Radziwiłłów, Sapiehów. Sam Zygmunt August odznaczał się obojętnością, a nawet chwiejnością w wierze, wskutek czego Kalwin dedykował mu jedno ze swych dzieł. Obok tych „nowinek” rozwijał się jeszcze w Polsce zwinglianism, który szerzył głównie profesor języka hebrajskiego, Włoch, Stankar. Licznych jednak zwolenników nie posiadał. Natomiast dość dużo stronników wśród szlachty zyskał sobie arjanizm — socynjanizm. Przyjmowały go różne rody, jak: Morshynowie, Stadniccy i inne. Ogniskiem tego prądu religijnego były miasteczka Pinczów i Raków. Jak już wspomniałem, wielkie wzięcie wśród szlachty zyskał sobie kalwinizm, który szerzyli głównie: bratanek prymasa Jan Łaski, oraz Mikołaj Rej z Nagłowic. Pod ich to wpływem szlachta porzucała tłumnie nauki Lutra i katolicyzm i przechodziła na nową wiarę. Uczynili to: Zborowscy, Oleśniccy, Radziwiłłowie, Pacowie.

Oprócz tych głównych sekt, Polska, która zawsze słynęła z właściwej Polakom tolerancji, dawała w tym czasie schronienie wielu innym herezjom, których wówczas liczono ponad 32. Sekty te prowadziły między sobą ustawiczne spory dogmatyczne, a łączyły się jedynie w chwilach walki z katolicyzmem. Różnowiercy, dopóki byli rozbici na drobne obozy, nie przedstawiali dużej siły, dlatego powstała wśród nich myśl zjednoczenia się w jedno stronnictwo. Próby takie podejmował Jan Łaski, jednak nie udało mu się tego dokonać. Na sejmie w Piotrkowie, w 1552 roku, szlachta uzyskała wreszcie zwolnienie od sądów biskupich, a protestanci, ufni w swe siły, wystąpili do stanowczej walki z Kościołem. W roku 1553 na sejmie za-

żądali od Zygmunta Augusta utworzenia kościoła narodowego i ogłoszenia króla zwierzchnikiem tegoż, a senat, pomimo protestów biskupów, poparł to żądanie. Król jednak nie powziął ostatecznej decyzji, lecz zwrócił się do papieża Pawła IV-go z prośbą, by pozwolił na odprawianie Mszy św. w języku narodowym, na przyjmowanie Komunii św. pod dwiema postaciami i na zwołanie soboru narodowego. Wysłane poselstwo, z biskupem Maciejowskim na czele, otrzymało odpowiedź odmowną. Projekt kościoła narodowego nie został urzeczywistniony. Tymczasem po ukończeniu soboru Trydenckiego, który obudził i wzmocnił uspiętego ducha katolicyzmu, przybył do Polski legat papieski Lippomano, by energicznie zająć się obroną Kościoła. W pracy poparli go liczni biskupi, lecz mimo to napotkał tak wielkie trudności, że zwątpił w przyszłość katolicyzmu w Polsce, i wróciwszy do Rzymu, w raporcie do papieża donosi, że Polska dla sprawy Kościoła przepadła. Istotnie, położenie Kościoła w Polsce było bardzo trudne — niektórzy z biskupów, jak prymas Uchański, dążyli wprost do kościoła narodowego. Inni, jak A. Zebrzydowski, biskup krakowski, lekceważyli jawnie najświętsze zasady religii, gotowi uznać każdy kościół, byleby im zapewnił regularną egzekucję dziesięcin.

W tym właśnie czasie, gdy Polskę opuścił legat Lippomano, wraca do kraju, opromieniony sławą na soborze trydenckim, kardynał Hozjusz i sprowadza Jezuitów, mających przeprowadzić dzieło reformy. Wkrótce przybywa także nowy legat papieski, Franciszek Commendoni, mąż imponującej potęgi umysłu i serca. Zdołał on zorganizować na nowo rozbitków Kościoła Katolickiego, biskupów, sprzyjających reformacji unieszkodliwić i wystąpił do walki z protestantyzmem. Teraz wszystko zależało od tego, jak się w tej sprawie zachowa król Zygmunt August. Idąc za głosem Commendoniego, mógł on przyjąć ustawę Soboru, legatowi papieskiemu dopomóc do przeprowadzenia reformy i sekciarzy wypędzić. Ale Zygmunt August początkowo nie tylko nie spełnił życzeń Commendoniego, lecz wystawił go na trudną i długą walkę. Miał do niej król osobliwsze powody. W tym właśnie czasie dyplomacja papieska nawiązała stosunki z carem Iwanem i rokowała z nim o przejście na łono kościoła katolickiego. Iwan wprowadzie przez przyjęcie katolicyzmu byłby stracił wiele na tej władzy, którą mu nadawała odrębność Kościoła Wschodniego we własnym kraju, ale nie odrzucał zbliżenia się do kurji rzymskiej, chcąc w ten sposób podnieść swe znaczenie w Europie i osłabić Zygmunta Augusta. Przyszła chwila, że dla reformacji po raz ostatni błysnęły lepsze widoki. Zygmunt August zniechęcił się do Katarzyny austriackiej, z którą nie miał męskiego potomka. Myśl pozostawienia po sobie na tronie syna wydała mu się jedynym zbawieniem kraju. Dążył tedy do rozvodu z Katarzyną. Rzym jednak małżeństwa tego unieważnić nie mógł, natomiast przyjęcie reformacji usuwało wszelkie przeszkody. Ale w tej krytycznej dla katolicyzmu chwili, wobec zniewieściałego Zygmunta stanął mąż prawdziwie opatrnościowy, jakim był Commendoni. Skłonił on Zygmunta Augusta do uroczystego przyjęcia uchwał soboru Trydenckiego na sejmie w Parczewie w 1565 roku.

Protestanci, podzieleni na różne sekty, patrzyli z trwogą w swą przyszłość. Widząc wzrost Kościoła Katolickiego, postanowili się bronić. Dlatego też odbyli kilka pojednawczych zjazdów, aż wreszcie za-



FRAGMENT BIBLIOTEKI SZKOLNEJ. WYDAWANIE KSIĄŻEK

warli w Sandomierzu w 1570 r. uroczystą zgodę trzech wyznań: braci czeskich, luterskiego i kalwińskiego, na mocy której uznano prawo-wierność swych nauk, a zarazem przyrzeczono sobie wzajemną po-moc w walce z Kościołem Katolickim. Ugoda sandomierska nie otrzy-mała jednak urzędowego potwierdzenia ze strony króla. W roku 1565 uzyskano jeszcze ustawę, zakazującą egzekucyj wyroków kościelnych przez władze świeckie, a wkrótce potem równouprawnienie z katoli-kami. Konferencja warszawska w 1573 r. zapewniła tedy równoupraw-nienie dysydem z katolikami. Kościół Kat. odrodzony duchowo, wystąpił teraz z nadzieją zwycięstwa do wzmożonej walki z herezją. Szczególniejszą działalność na tem polu rozwinęli jezuici z księdzem Skargą na czele i za ich to wpływem przeważnie większość szlachty wracała gromadnie na łono Kościoła. Wobec tego dysydenci szcze-gólną nienawiścią zapłonęli do katolicyzmu i odrzucali wszelkie głosy, nawołujące do jedności z Kościołem. Rząd podjął próby pojednania przez urządzenie publicznych dysput, które okazały się również bez-owocne. Dysydenci, zrażeni do rządu, zaczęli teraz szukać pomocy u wrogów ojczyzny, a nawet takiemu Karolowi Gustawowi ułatwiali podbój Polski. Podobnem postępowaniem oburzili na siebie społeczeństwo tak dalece, że pod wpływem opinii publicznej sejm wydał w 1658 r. ustawę, zmuszającą arjan do opuszczenia Polski.

Jeśli bliżej przypatrzymy się stosunkom w Polsce, to zobaczy-my, że reformację u nas wywołały nie przyczyny religijne, lecz poli-tyczne i społeczne. Szlachcie nie o istotę religii chodziło, lecz o to, aby nie płacić dziesięcin na rzecz duchowieństwa, a nadewszystko, aby nie podlegać jurysdykcji duchownej. Jednakże, gdy na sejmie piotrkowskim, jak to zaznaczyłem, zapadła uchwała, na mocy której władze świeckie nie miały już więcej wykonywać wyroków sądów bi-skupich, upadła jedna z najważniejszych przyczyn zrywania z Kościo-łem Katolickim. Większość szlachty, pomimo, że przyjęła protestan-tyzm, w głębi serca tęskniła do okazałości i przepychu nabożeństw katolickich, trudno jej było się wyrzec kultu Najświętszej Panny i nabożeństwa do Świętych. W łonie zaś samej reformacji nie było zgody, co osłabiło jej siły. Oto najważniejsze przyczyny, które zło-żyły się na upadek „Reformacji“ w Polsce.

Mimo to, wywarła ona olbrzymi wpływ na umysłowy rozwój społeczeństwa. Zarówno szlachta, mieszczenie, jak i duchowieństwo, zabierali głos w sprawach religii i Kościoła, rozwijał się zmysł kry-tyczny. Reformacja przyczyniła się też do zwycięstwa języka polskie-go w piśmienictwie i w życiu, bo tak zwolennicy jej, jak i przeciwni-cy, chcąc wywierać wpływ na jak najszerze masy społeczeństwa, mu-sieli zarówno w mowie, jak i w piśmie, posługiwać się językiem zro-zumiałym dla wszystkich. I tak pierwszy przekład polski Ewangelji literatura nasza zawdzięcza protestantom, a mianowicie St. Murzy-nowskiemu. Za Ewangelią poszły hymny, psalmy i pieśni religijne. Duchowieństwo kat. zrozumiało, że jeżeli chce skutecznie walczyć z reformacją, musi się również posługiwać językiem ojczystym. Dla-tego to rozwinęło się świetnie piśmiennictwo religijne, tak, że w sa-mym XVI w. naliczono około 6000 najrozmaitszych broszur treści re-ligijnej w języku polskim. W ten sposób kultura humanistyczna prze-kształciła się na narodową. Literatura nasza w tym t. zw. „złotym okresie“ miała wybitnych przedstawicieli. Obok Mikołaja Reja, w któ-

rego prostych rymach odzwierciedliło się życie ówczesnej szlachty, śpiewa temu pokoleniu wielki Jan Kochanowski, którego treny, przekład psalmów i pieśni, stanowią chlubę naszej literatury niepodległej Polski. Historykiem tej doby jest Marcin Bielski, który pisze po polsku „Kronikę wszystkiego świata“, a obok niego biskup warmiński, Marcin Kromer. W imieniu ówczesnego pokolenia zabiera głos Jan Zamoyski, który ogłasza dumnej szlachcie, że cały ustrój Rzeczypospolitej polskiej jest niedościgłym ideałem, jaki niegdyś w dalekiej przeszłości w swej Rzeczypospolitej zrealizowali jedynie Rzymianie:

„Polska jest ideałem wolności, każda jednostka słucha władzy i króla tylko o tyle, o ile mu się przez wolną elekcję poddała. Król obieralny ma być szczytem doskonałości, a dla szlachty szafarzem łask i świecącym przykładem“.

Władysław Bodziak, kl. VI.

Zwyczaje i obyczaje szlachty naszej w XVI w.

(Na podstawie przeczytanych wyjątków z pism M. Reja).

W XVI w., kiedy to Polska zajmowała tak wybitne stanowisko wśród państw europejskich, kiedy była naprawdę potęgą niezwykłą nazewną, w organizmie jej zaczyna lęgnąć się zdradziecki czerw nierządu, rozluźnienia obyczajowego i zniewieściałości, który wiedzie ją nieznacznie ku upadkowi. W owym to czasie wśród wielu wybitnych jednostek zjawia się w naszej literaturze typowa postać Mikołaja Reja z Nagłowic. Jest on autorem całego szeregu satyr i utworów o charakterze dydaktycznym, w których okazuje się nadzwyczajnym malarzem życia współczesnego, niepróbowanym wprost jego obserwatorem. W utworach swoich kreśli on wprawdzie tylko swój własny światopogląd, ale ponieważ jest takim samym, jak inni, typowym szlachcicem, jego zapatrywania i pojęcia są pojęciami ogółu szlacheckiego.

Ideałem ówczesnej szlachty polskiej było życie sielskie na roli, wśród powabów natury, dostatku, wygody i szczęścia rodzinnego. Tutaj to wśród pól i lasów kształtowały się, zmieniały, wrastały w życie owe proste zwyczaje i obyczaje, które znalazły swój doskonały oddźwięk w twórczości rejowskiej.

To, co Rej stworzył, było wzięte poprostu z otoczenia i ze wspomnień własnego żywota.

Dziecko szlacheckie wychowywało się na wsi, chronione od zła, pod czułą opieką matki i nauczyciela. Na rozwój umysłowy wielkiej jeszcze wówczas wagi nie kładziono, nie chcąc „męczyć“ biedactwa, zupełnie przeciwnie, jak to obecnie dzieje się u nas. Chłopak zdrów jak ryba, jak to mówią: do tańca i do różańca, stronił od „strasznej“ dlań książki. Ćwiczył się natomiast w konnej jeździe i we władaniu bronią, co, kiedy przyjdzie mu się potykać z wrogiem w obronie ojczyzny, mogło mu się przydać. Młodość szlachcica była więc wy-

godna i miła, ale jakież z niej owoce? Nie mogły być istotnie wielkie przy takiej nauce; ale cóż na to poradzić? Jedzie tedy młodzian zagranicę, aby się uczyć przez patrzenie, słuchanie, aby zdobyć jaką taką kulturę zewnętrzną, a potem, poznawszy obyczaje, nabywszy oglądy, spieszy dokończyć „wykształcenia“, bądźto w służbie wojskowej, bądź na dworze możnego pana.

Następnie taki już „skończony“ szlachcic i obywatel Rzeczypospolitej osiąga ideał swego życia, osiada na ojcowiznie, którą kocha, bo daje mu wygodny byt, zamożność i szczęście.

Po hucznem weselu, przy odgłosie trąb i piszczałek, wprowadza pod dach skromnego dworku równą mu urodzeniem i majątkiem towarzyszkę życia, która odtąd będzie dzieliła z nim chwile szczęścia i niedoli, z którą będzie witał każdy promyk słońca, każdy dzień, rok, każdą jego porę, przynoszącą mu coraz to inne zajęcia i przyjemności.

Wkrótce, da Bóg, że dworek napełni się szczebiotem „pociech“, no — i czegoż więcej brakuje szlachcicowi-bratu do zupełnego szczęścia, przy dostatku, wśród spokojnej wsi polskiej? Promienie wiosennego słońca zastaną go z „nadobną“ żonką wśród drzew owocowych — w sadzie, doglądającego pracy służby i pełnego nadziei, że następna pora roku przyniesie mu piękne owoce. Sadzą więc warzywa, kwiaty, a on szczęśliwy, spokojny, bo to wszystko jego... A gdy już przyjdzie lato w całej swej okazałości, lato, co brzękiem owadów napełnia powietrze, a zapachem kwiecia nęci pracowite pszczołki, zastanie go wśród złotych łąków zbóż, wśród uznojonych żniwiarzy. Rosną kopy jedna po drugiej, a on patrzy szczęśliwy, bo to znowu... jego...

A szumiąca żółtkłemi liśćmi jesień cicha, da mu obfitość owoców i jarzyn, które będą osładzały gnuśną i bezpłodną zimę. Pokrywa ona białym puchowym kołbiercem ziemię, ale pocziwy szlachcic cieszy się tem, co mu dała jesień i w lasach szuka teraz przyjemności i wesela. Lśnią tysiącem brylantów śniegiem zasłane knieje i choć mróz trzaskający, szlachta bawi się polowaniem, przy odgłosie myśliwskich rogów. Pada zwierzyna, bo jej pełne lasy, a szlachcic zadowolony, bo to też... jego.

Gdy zaś wróci do zacisza domowego, obładowany zdobyczą, pewny jest, że na jego progu ujrzy śmiejącą się twarz ukochanej żony, usłyszy radosne wołania dzieci, a wieczorem, przy kominku, zadowolonym płonącymi sosnowymi kłodami, będzie opowiadał o swoich przygodach, lub, póki go sen nie zmorzy, słuchał śpiewu prządek i cieszył się, bo i czegoż mu brak?

A oto i niedziela — dzień Boży. Po szarej drożynie toczy się bryka szlachecka z panią małżonką, a obok na rączym koniku nasz szlachcic z orszakami jedzie do kościoła. A potem zbiera się brat szlachecka w zajeździe lub karczmie, która jest dla niej znowu ośrodkiem innego rodzaju zabaw, wiadomości politycznych i „plotek“, ażeby się też poweselić. Krążą czary z miodem, z głów się kurzy, słychać śpiewki rozmaitego rodzaju, grają w kręgle, „tańczą“ i krzyczą, bo i pocóżby tu przyszli? Czasem się zdarzy, że ktoś się z kimś przemówi, lub też „łeb“ kuflem rozbije, ale to nic, choć Rej się i na to skarży, kiedy przedstawia „nadobne“ sprawy pijaka, który „chrapi

jako świnia, kiedy się drożdży opije, a na brzuch sobie pluje.“ „Więc kiedy mu się chce śpiewać, aliści jako cielę ryczy — tańczyć — aliści się śliza, jako kozieł po lodzie“.

Gdy tak nieznacznie odwracamy kartę życia szlacheckiego, oczom naszym przedstawia się nie idealna sielanka, ale widok inny, smutny, lecz niestety, prawdziwy. Szlachcic polski w gruncie rzeczy pocziwy, przechowujący wiernie kult Najświętszej Panny, pobożny w świątyni, jest pysznym wobec słabszych, „nadyma nos“ i „podnosi głowę“, jak mówi Rej i byleby „kilko wąsatych chłopów przy nim stało“, nie zważa na żaden autorytet. Obok wspomnianego wyżej pijaństwa, przekupstwo, zwłaszcza w sądach, było na porządku dziennym, o czym nam świadczy również to powiedzenie Reja, że „Sprawiedliwość naszą zowią pajęczą siecią, którą bąk (bogacz) przebija, a nędzna mucha (biedak), oplotłszy się, uwikławszy się, utraciłszy wszystko, nie doczekawszy się żadnej pociechy w upadku swoim, idzie z kijem, becząc, do domu, ręce załomiwszy!“

Za upadkiem sprawiedliwości idzie nierząd, to też uciera się wśród szlachty coraz bardziej powiedzenie: „Polska nierządem stoi“. Wiek XVI przyniósł z sobą wzrost przywilejów szlacheckich i to kosztem władzy królewskiej, możnowładztwa i duchownych. Już konstytucja „Nihil Novi“ głosi, że nic nowego nie może być uchwalone bez zgody szlachty. A następstwa tego?

Oto sejmiki stały się widownią sporów, nieraz nawet krwawych, przez co niewiele uchwał dochodzi do skutku. Ideały życia sielskiego podkopują też tak ważną instytucję, jaką jest wojsko. Ci sami bowiem Polacy, którzy okazywali ongiś hufcom krzyżackim „niezakryte czoła“, co to wzbudzało popłoch wśród wroga, coraz bardziej zaczęli stronić od obowiązku bronienia ojczyzny. Dlatego też Rej nawołuje usilnie do pełnienia służby wojskowej i stara się przedstawić życie obozowe w jak najpoważniejszym świetle. Nie słuchano jednak jego upomnień; w zaniedbaniu i lenistwie wszystkie ujemne cechy obyczajowe, cechy charakteru szlachty polskiej zaczęły rozrastać się niepowstrzymanie i podkopywać państwo polskie. Bez echa przebrzmiały nawoływania Reja, Orzechowskiego, a wkońcu Kochanowskiego i Skargi. Wszyscy oni widzieli zło i starali się mu zaradzić. Pomimo, że na ołtarzu ojczyzny złożyli swe zdolności, walcząc piórem — nie zdziałali wiele, bo choć kochali Polskę, nie mogli przecież zmienić jej ustroju. Ale nie ich zato winić należy.

A tymczasem zaślepiena szlachta bogaciła się, ucztowała, lub zamknięta w wsi, poza nią nic nie widziała, podczas gdy wróg zaczął zewsząd Polsce zagrażać.

I w tym niepowstrzymanym pędzie używania, rozkoszy, nie przędzej otworzyła oczy, aż spoczęły na niej pęta trzech zaborców.

Konstanty Kowalewski, kl. VI.

Istota tragizmu.

(Referat na podstawie „Antygony” Sofoklesa).

Tragedja jest najszlachetniejszym wytworem ludzkiego geniuszu, gdyż autor musi podnieść w niej takie cele i ideały, które wzbudziłyby w nas podziw i uznanie, cele wielkie, święte i szczytne, mogące uszczęśliwić świat cały, lub też tych, których dany bohater najbardziej kocha.

Dramaturg, chcąc stworzyć dobrą tragedję, musi najwpierw wymyśleć dziwnie skomplikowaną sytuację, następnie dobrać odpowiednie do powagi i wzniosłości idei charaktery, a wreszcie wyraźnie zaznaczyć ideę przeznaczenia, bądź to natury zewnętrznej, np. fatum u Greków — bądź wewnętrznej, t. j. leżącą w sumieniu bohatera, jak to ma miejsce u Szekspira.

Przypatrzmy się najpierw sytuacji. Musi się ona wiązać z jakimiś dwoma kontrastowymi charakterami, któreby prowadziły walkę na śmierć i życie — walkę, która musi się zakończyć śmiercią jednego z nich, a mianowicie bohatera.

Weźmy na przykład doskonałą tragedję sławy światowej — Antygonę — Sofoklesa. Po walce Eteokla z Polinikiem i po śmierci obu braci tron w Tebach obejmuje brat ich matki Jokasty — Kreon. Rozkazuje on wspaniale pogrzebać ciało obrońcy miasta i ojczyzny — Eteokla, ciało zaś zdrajcy — Polinika, zostawić na pastwę psom i sępom. Ale zaraz po wydaniu rozkazu już w prologu sztuki objawia się chęć przeciwdziałania temu rozkazowi siostry nieszczęsnego Polinika — Antygony. Staje ona wobec dwu praw i dwu obowiązków. Z jednej strony odwieczne, nietykalne, choć nie pisane prawa boskie, które nakazują jej miłość siostrzaną względem brata — miłość tylokrotnie opiewaną w licznych tragedjach i dramatach greckich, a zarazem wkładają na nią obowiązek pogrzebania ciała. Ale z drugiej strony krępuje ją zakaz Kreona — tyrana wprowadzie ziemskiego, ale zakaz, równający się prawu ludzkiemu i obowiązek słuchania tego prawa, które ją, jako poddaną władcy, dotyczy. Staje więc bohaterka wobec dwu zagadnień, praw i obowiązków, a każdy z nich jest równie dobry, ważny i uzasadniony. Krótko mówiąc, staje ona przed zagadką życia. Z jednej strony poniesie karę śmierci, jaka była wyznaczona za złamanie zakazu i pogrzebanie Polinika, z drugiej sprzeniewierzy się miłości siostrzanej i narazi się na gniew, a może i zemstę bogów za niewypełnienie ich prawa, tem bardziej, że nad rodem Labdakidów wisi i tak miecz Damoklesa, bo bogowie zsyłają nań przeróżne nieszczęścia. Czyż i ona ma stać się ich ofiarą? Tu już więc stworzył autor ten dziwny niejako węzeł gordyjski, którym jest sytuacja tragiczna — sytuacja bez wyjścia. Można się odrazu spodziewać, że niepowodzenia, nieszczęścia, klęski, a nawet śmierć bohaterki są nieuniknione, bez względu na to, czy pójdzie za prawem boskim, czy ludzkim. Już w prologu widzimy, że heroiczna Antygona ma zamiar pójść za popędem krwi, za uczuciem miłości siostrzanej — za prawem boskim, gdyż taki tylko czyn licuje z jej szlachetnością. Uwikłaną została w matni, z której niema wyjścia innego, jak tylko śmierć.

W tragedji musi nam również autor przeciwstawić dwa odrębne charaktery i to takie, które dążyłyby do wprost przeciwnych celów.

W „Antygonie” są niemi: Antygona i Kreon. Antygona posiada silną i niezłomną wolę, nie zraza się tem, że dążąc do szczytnego celu, może śmierć ponieść, ale idzie śmiało przeciw niebezpieczeństwu, z krótkotrwałym wprowadzie lękiem o życie, ale z tą myślą, z tem przeświadczeniem, że uszczęśliwi ukochanego brata i spełni przykazania bogów. Dlatego, nie zważając na prośby i perswazje bojaźliwej Ismeny, grzebie ciało Polinika i skrapia je płynem ofiarnym z wina, mleka i oliwy. Schwytana na gorącym uczynku i stawiona przed Kreona, występuje śmiało wobec tyrana, wyrzuca mu w ostrych słowach jego błędy i tem więcej jeszcze rozjątrza go przeciw sobie i utwierdza w uporze. Działanie swe posuwa aż do ostateczności, gdyż dusza jej została opanowana jedną potężną namiętnością, będącą źródłem postępowania, a namiętnością tą jest chęć zrobienia ofiary z siebie dla szczęścia ukochanego brata. Kreona charakteryzuje autor jako tyrana zarozumiałego, podejrzliwego o knucie spisków przeciw sobie, zazdroznego o swą władzę i popisującego się zdawkową mądrością. Upór jego nie jest w gruncie rzeczy silną, niezłomną wolą, gdyż przezeń jedynie pragnie Kreon zachować swój majestat władzy nienaruszalnej i nieomyłnej, jak też utwierdzić każdego w mniemaniu, że jest władcą sprawiedliwym, silnym i nieustępliwym. Tak powstaje w tragedji konflikt dramatyczny, stanowiący dla bohaterów próbę ognia, a polegający na sprzeczności dążeń i charakterów w dziwnym zbiegu okoliczności. Niezłomna wola w doprowadzeniu swego dążenia do ostateczności rzuca przeciwników w wir walki, toczącej się nie o drobnostki, ale o rzeczy pierwszorzędnej wagi, o prawa, cele, obowiązki, ideały najświętsze.

Idea przeznaczenia, jako trzeci czynnik konieczny w tragedji może być bądź natury zewnętrznej, jak wspomniane fatum greckie — „odwieczna Mojry potęga”, wielbione przez poetę w 4 stasimonie „Antygony”, bądź, jak w nowszych tragedjach, natury wewnętrznej, gdy zostaje umieszczone w duszy bohatera. I tak, choć Antygona ginie faktycznie z własnej woli, to jednak nad całą akcją unosi się jakby jakaś niewidzialna, przeogromna potęga tajemnicza, którą właśnie nazwano siłą przeznaczenia. Wierzono głęboko, że w każdej takiej sytuacji kryje się ręka bogów, którzy kierują losami ofiar tak, aby wpędzić je niejako w matnię. Dzieje się to wskutek klątwy lub gniewu bogów, mszczących się za grzechy i zniewagi. Zarówno Antygona, jak i Kreon, dostali się w moc przeznaczenia. Pierwsza z powodu klątwy, ciężącej na domu Labdakidów, drugi przez swą zarozumiałość i upór. A kiedy tyran zrozumiał wreszcie swój błąd — było już zapóźno. Przeznaczenie nie pozwoliło, aby bohaterka wypłatała się z sieci. Upór Kreona został wprowadzie złamany, ale Antygona skończyła samobójstwem, za nią zaś poszedł ukochany i jedyny syn tyrana, Hajmon, a wreszcie i żona władcy, Eurydyka. Walka, prowadzona o cele wzniosłe i święte kończy się strasznie tak dla bohaterki, jak i dla jej przeciwnika. Bohaterka ginie, a sprawca jej śmierci pozostaje wprowadzie przy życiu, ale na to tylko, aby cierpieć po stracie swych najbliższych i pokutować za winy.

Tragedja, w której, jak widzieliśmy, walka toczy się o zasadnicze podstawy bytu ludzkiego, robi na nas zawsze ogromne wrażenie. Ale nie przygnębia nas bynajmniej, nie budzi w sercach litości dla bohatera, tylko cześć, podziw i uwielbienie. Gdy patrzymy na dra-

mał, rozgrywający się przed naszymi oczyma, występuje w nas bierne, a niekiedy nawet i czynne rozdwojenie osobistości i chociaż siedzimy na miejscu w widowni, to jednak duchem podążamy za bohaterem do tego samego ideału, który nas porywa, uszlachetnia, a niejednokrotnie całkowicie przetwarza. Towarzyszymy mu w jego szczytnych walkach, zwyciężamy przeszkody i przeżywamy z nim powodzenia. Duch nasz zespala się z duchem bohatera, a zapal jego udziela się wszystkim. Zapominamy o sobie, jesteśmy tak przejęci ważnością chwili i zasugestjonowani losami walczących i ich potężnymi czynami, że mimowoli z piersi naszych wyrывa się okrzyk podziwu. Oto dlaczego tragedia działa na nas podniosłe, nie przygnębiająco! I w tem właśnie jej największa siła.

Stanisław Gogłuska, kl. VI.

Burza.

*Wiatr świszczce, dmie, wyje i piachu tumany
wzbił w górę i z szumem gdzieś niesie je wdal —
ponury i groźny, szaleństwem pijany,
o drzewa uderza deszczowych mgłą fal. —*

*Wyniosła topola w posadach się chwieje,
a brzoza się zgina i schyla i płacze —
gdzieś w las grom uderzył i wichr się znów śmieje,
a śmieje się dziko, bo drżą w nim rozpaczę. —*

*Lecz — choćby najsroższa — i burza przemija —
ryk słabnie nawały, gaśnie błyskawica
i zwolna się błękit z chmur czarnych przebija,
a słońce wychyla promienne swe lica.*

*Tak nieraz i w duszy grom burzy szaleje —
najczulsze się serca rwą struny i płaczą —
lecz słaby się tylko pod ciosem zachwieje,
a silny się skrzepi i wzgardzi rozpaczą. —*

*Więc naprzód wesoło z podniesionem czołem
choć gromy wkrąg biją i lśni błyskawica,
bo burza przeminie, przewali się dołem
i złoty śmiech szczęścia rozjaśni nam lica.*

Czesław Wielądek, kl. V.

Wychowanie młodzieży w starożytnym Rzymie.

Rzym z niewielkiego kraju, jaki z początku zajmował, dzięki swej „virtus“, oraz stosowaniu zasady: „Divide et impera“, stał się dość prędko największą potęgą w świecie starożytnym. Wyniesienie swe ponad inne narody, dojście do niebywalej potęgi i rozkwitu na polu ekonomicznym i kulturalnym, zawdzięczają Rzymianie swym odrębnym cechom charakterystycznym, zaletom i cnotom. Dopóki istniała dawna „virtus“, owa cnota, która przyświecała wszystkim poczynaniom Rzymian, istniał Rzym, a z jej zanikiem potęga Rzymu zaczęła się chylić stopniowo do upadku. Cnoty Rzymian mają swe źródło w dobrym wychowaniu młodzieży. Jakie więc było owo wychowanie w starożytnym Rzymie i na jakich opierało się zasadach?

Wkrótce po przyjściu na świat dziecka, składano je u stóp ojca. Jeżeli ojciec je podnosił, uznając tem samem za swoje, było to znakiem, że dziecko ma być wychowywane, w przeciwnym razie wynoszono je na drogę, gdzie ginęło z głodu i zimna. W dziewięć dni po urodzeniu, dziecku nadawano imię, z zachowaniem odnośnych obrzędów i polecano los jego Parkom. Początkowo dzieci były wychowywane przez mamki, potem przechodziły pod opiekę niewolników, zwanych pedagogami.

Przed rozpoczęciem nauki w szkole dzieci spędzały czas przeważnie na rozmaitych zabawach, żywo przypominających nam gry i zabawy dzisiejsze; do takich należały: gra w piłkę, toczenie koła za pomocą żelaznego pręta, zabawa w chowanego i wiele innych. Pedagogowie, czuwający nad chłopcami, udzielali im również pierwszych wiadomości z zakresu nauki.

Skoro chłopiec kończył lat siedem, oddawano go do szkoły elementarnej — „ludus“. Każdy mógł taką szkołę założyć i w niej nauczać, jeżeli w ten sposób chciał zarabiać na życie. Nauczycielami, „magistri ludorum“, w szkołach początkowych byli ludzie, pochodzący przeważnie z niższych sfer społeczeństwa, a nawet dość często wyzwolenicy. Udzielano tam nauki czytania i pisania, oraz uczono się na pamięć ważniejszych ustępów z tekstów prawa.

Do pisania służyły tabliczki, pokryte woskiem, oraz rylce żelazne — „stilus“, które jednak okazały się niepraktycznymi, ponieważ posługiwano się niemi jako bronią w bójkach uczniowskich, co powodowało niejednokrotnie bardzo dotkliwe obrażenia cielesne, wskutek czego zastąpiono je wkrótce rylcami z kości. Pisano również atramentem na papirusie, ale bardzo rzadko, gdyż materiał ten był droższy i mniej praktyczny, wymagał przytem od młodzieży odmiennego przygotowania technicznego, niż pisanie na tabliczkach, które z tego powodu było ogólnie rozpowszechnione.

Lekcje odbywały się w skromnie umeblowanym mieszkaniu, lub podczas pogody na świeżem powietrzu.

Mniej więcej w dwunastym roku życia przechodził chłopiec do szkoły średniej gramatyka, „grammaticus“. Ta szkoła posiadała lepsze urządzenie niż „ludus“. Były w niej rozmaite płaskorzeźby, przedsta-



LEKCJA FIZYKI W PRACOWNI (KL. VIII)

wiające przeważnie bohaterów dzieł Homera, oraz popiersia sławniejszych pisarzy rzymskich. Na wzniesieniu znajdowało się siedzenie dla profesora, „cathedra“, a obok krzesło, „sella“, jego pomocnika, zwanego „monitor“. Był to zwykle jeden z uczniów danego oddziału, który zdał najlepiej miesięczny egzamin. Przywilejem jego było pierwszeństwo w odpowiedziach, poprawianie innych, a nieraz nawet zastępowanie nauczyciela w wykładzie. Dla pobudzenia ucznia do lepszej nauki i szlachetnego współzawodnictwa, zaczęto rozdawać nagrody. W tej szkole gramatyka uczono gramatyki, metryki i literatury, objaśniano dzieła poetów, dawano wypracowania ustne i piśmienne w języku łacińskim lub greckim. Nauczyciel prowadził wykład siedząc, rzadko zapytywał uczniów, którzy notowali wykład na tabliczkach.

Po ukończeniu lat piętnastu, chłopiec przechodził do szkoły reтора. Celem tej szkoły było przygotowanie ucznia do kariery sądowniczej i politycznej. Kazano więc mu pisać obrony i oskarżenia, mowy przeciwko złym postępkom, jak np. przeciwko świętokradztwu, grom hazardowym i na inne tematy. Od czasu do czasu urządzano małe popisy oratorskie, na które przychodzili rodzice i znajomi uczniów. W tych warunkach młodzież starannie przygotowywała mowy, zdobywając w ten sposób oklaski słuchaczy i pierwszeństwo wśród kolegów. Oprócz retoryki, niektórzy młodzieńcy uczyli się również nauk dodatkowych, jak np. geometrii, astronomii, lecz w bardzo szczupłym zakresie, gdyż nauki te były wówczas ściśle przystosowane do potrzeb praktycznych; uczyli się następnie gimnastyki, muzyki, rzeźby i malarstwa. Jednak te dwie ostatnie gałęzie sztuki przez długi czas uważano za rzemiosło, którem Rzymianie naogół gardzili, wobec czego, nie doznając wśród społeczeństwa należytego uznania, nie mogły pomyślnie się rozwijać.

Po ukończeniu lat 17, młodzieniec w oznaczonym dniu, przeważnie 17-go marca, w czasie świąt na cześć Bakchusa, przywdziewał białą togę męską, „toga virilis“. Tego samego dnia zawieszał na szyi talizman bóstwa domowego: był nim medaljon złoty lub skórzany „bullā“, który nosił od początku swego życia. Teraz młodzieniec stawał się rzeczywistym członkiem społeczeństwa.

Los ucznia, z punktu naszego zapatrywania, nie był do pozazdroszczenia. Musiał on wstawać bardzo wcześnie i udawać się do szkoły, oświetlając sobie drogę latarnią. Przyrządy szkolne, jak teczkę do książek, „capsa“, a właściwie do zwojów papirusu, tabliczki, oraz inne przedmioty niósł niewolnik, jeżeli dany uczeń miał bogatych rodziców, w przeciwnym razie musiał nieść sam. Lekcje trwały około sześciu godzin, z przerwą w południe. W tym czasie uczniowie udawali się do domu na śniadanie, po którym wracali do szkoły. Wypracowania pisano przeważnie w szkole, a niekiedy w domu; chłopiec naogół miał dużo pracy, lecz dbano o to, aby przemęczenie uczniów nie odbijało się ujemnie na ich zdrowiu, mieli więc często „otium“ — odpoczynek od pracy, z okazji różnych świąt i związanych z nimi obchodów i uroczystości.

Wakacje trwały cztery miesiące: od Idów czerwca do Idów października. Naszym ferjom wielkanocnym odpowiadały: „Quinquatriae“, obchodzone na cześć patronki uczniów, Minerwy. Również każdy

dziesiąty dzień był wolny od zajęć szkolnych, „nundines”. Starożytni uważali za rzecz wskazaną i pożyteczną dawać uczniom dłuższy wypoczynek, po którym, według ich zdania, młodzieniec mógł z tem większą energią i zapałem zabierać się ponownie do żmudnej pracy.

Codziennie, po wyjściu ze szkoły, uczniowie udawali się na pole marsowe, gdzie urządzali rozmaite zabawy i rozrywki, wypoczywając w ten sposób po zajęciach szkolnych. Zabawy ich nie zawsze były spokojne. Bardzo często wywiązywały się bójkі na tle starć politycznych, które wśród uczniów nieraz znajdowały żywy oddźwięk. Pod tym względem uczniowie byli przedstawicielami wrogich sobie obozów, zależnie od stanowiska w danym wypadku swych ojców. Argument pięści wyciskał nieraz sińce na ciele przeciwników, poczem stosunki powracały do normalnego stanu, a tryb życia szkolnego dalej toczył się zwykłą koleją.

Okazuje się jednak, że i wówczas młodzież posiadała nigdy nieprzemijające objawy wad i ułomności, jakie posiada dzisiaj — „nihil novi sub sole”. Długi nieraz odpoczynek od zajęć szkolnych nie wszystkim wystarczał. Zdarzało się, że chłopcy udawali chorobę, używając w tym celu rozmaitych środków do zmiany zewnętrznego wyglądu. Do tych środków uciekali się nie tylko uczniowie gorsi, lecz niekiedy i lepsi. Gdy nauczyciel na tem się poznawał, winnego karał surowo. Karano również za najłżejsze przewinienia. Kary były dwojakie: cielesne i w postaci wypracowań, t. zw. „pensa”. Oprócz lekcyj, uczeń miał w domu różne zajęcia praktyczne pod kierunkiem ojca, a jeśli go nie miał, pod kierunkiem opiekuna. Uczono więc dzieci władania bronią, jazdy konnej, pływania, wdrażano do niewyczasów i niewygód. Po ukończeniu nauk w szkole retora i przywdzianiu togi męskiej, jedni młodzieńcy udawali się zagranicę, przeważnie do Aten, w celu dalszego kształcenia się, drudzy rozpoczynali praktykę w obranym przez siebie zawodzie.

Zaletą tego wychowania było kształcenie dzieci na ludzi, odznaczających się tężyzną charakterów, czystością obyczajów, posłuszeństwem prawom, silną wolą i niespożytą energią. Dzięki tym właśnie zaletom Rzymianie, nawet w najkrytyczniejszych dla państwa momentach, jak np. w drugiej wojnie punickiej, nie upadali na duchu, ale mężnie pokonywali wszelkie przeciwności. Takiemu wychowaniu zawdzięczał Rzym swoją potęgę, oraz cały szereg wybitnych obywateli, którzy na polu pracy politycznej, społecznej i naukowej położyli niespożyte zasługi.

Wychowanie to, z naszego punktu widzenia, posiadało co prawda pewne braki: było, być może, zbyt jednostronne. Przy tym systemie nie zwracano dostatecznej uwagi na kształcenie serca i na rozwijanie uczuć piękna, lecz gdy się zważy warunki, w jakich żyli Rzymianie, będąc otoczeni wrogami, to dziwić się temu zjawisku nie można, gdyż zarówno całe życie, jak i wychowanie dzieci, ściśle było przystosowane do potrzeb praktycznych; bez takiego wychowania nie zdołanoby wytworzyć typu Rzymianina, który posiadał nie tylko hartowną zbroję, lecz nadewszystko hartowną duszę, który nie znał, co to lęk przed nieprzyjacielem, co to upadek ducha podczas niepowodzeń.

Dzięki tym zaletom zdołano stworzyć tak silną organizację spo-

łeczną, o którą, jak o puklerz, przez długi czas rozbijały się bezskutecznie nie tylko zakusy nieprzyjaciół Rzymu, lecz i zgubne wpływy ze wschodu, które, przez wprowadzenie w życie zbytku i nowych poglądów, zczasem doprowadziły do zniewieściałości ducha i upadku zasad moralności, przeciw czemu bardzo ostro występował Cato.

Te metody wychowania, co prawda, nie pchnęły myśli rzymskiej na nowe oryginalne tory, nie przyczyniły się do stworzenia nowych systematów filozoficznych w przeciwieństwie do Greków, którzy na tem polu zajaśniali, nie wpłynęły na rozwój sztuki w dziedzinie rzeźby i architektury, natomiast pobudziły myśl rzymską do ułożenia takiego prawa, które stanowi dla umysłowości Rzymianina twór całkiem oryginalny, twór jego zmysłu życiowego, nawskroś praktycznego.

Dobre strony wychowania trwały w Rzymie tak długo, zanim nie wkradły się do życia: „luxuria“ i „avaritia“, które wyrugowały ze stosunków ludzkich prostotę i skromność i spowodowały upadek Rzymu.

Upadł starożytny Rzym, lecz mimo to żyje, dzięki nieśmiertelnym dziełom literackim, których myśli i ideały jeszcze i teraz nie straciły nic na swej aktualności.

Józef Sapięcha, kl. VII.

B i e g.

*Stanął — w oczach mu iskry migotliwe świecą,
drżą mięśnie, pobudzone siłą niewidzialną,
tętnią żyły, krwi burzą smagane nawałną
i woli nieugiętej ogień żywy niecą.*

*Sygnał — grają jak struny jędrne członki ciała —
nogi w gładkich podskokach przestrzeń biegu znaczą —
porwały się za niemi żwiry w tan i skaczą,
aż w głos się im młodzieńcza energja zaśmiała! —*

*Cel już bliski... Ostatek sił wrywa z siebie —
może na mecie padnie, ale nie ulegnie —
dumę raczej i sławę wraz tutaj pogrzebie — —*

*Niech oddech w piersi słabnie! — wola niemoc przegnie —
więc niby żagiel w słońcu wzdyma się, kolebie
i za chwilę do wstęgi jak tancerz dobiegnie — —*

Zygmunt Wachulak, kl. VI.

Na łacinie.

*Dzwonek — jak wyrok Baltazara,—drży na pustej ścianie,
czuć obawę, grasują zimne poty, drgawki, —
mkną gorączkowe prośby o pomoc, ściągawki,
bo — proszę — to nie żarty — łacińskie zadanie. —*

*Wchodzi groźny profesor — z nim cisza grobowa —
Ten przybladł, tamten splonął — cóż to za wzruszenie?
Temu pierś rozerwało głębokie westchnienie,
ktoś ręką objął czoło, by nie pękła głowa —*

*— Piszę: — Kaput dwudziesty — jedenasta księga —
„Która — proszę?” — Już rzekłem — macie napisane —
Zwinął się biedny uczeń, a mina nietęga.*

*Natłok bezładnych myśli — wszystko rozigrane —
nic nie idzie — czas płynie — profesor już sięga
po zeszyt... To już dzwonek? — no — patkę dostanę! —*

Zygmunt Wachulak, kl. VI.

PARTYZANTKA „LELEWELA“ — BORELOWSKIEGO NA TLE POWSTANIA STYCZNIOWEGO.

Naród polski nigdy nie mógł pogodzić się ze zbrodnią, dokonaną na nim przez trzy państwa zaborcze. On, który przez tyle wieków odpierał napady turecko-tatarskie i osłaniał piersiami Europę od zalewu barbarzyńskiego Wschodu, nie mógł zezwolić na to, żeby imię jego wymazano z karty Europy i zniszczono tysiącletnią kulturę. Więc też, wierząc głęboko w słuszność swojej sprawy, zrywał się do walki z przemożnym wrogiem. Z rozprawy wychodził najczęściej pokonany i zyskiwał jedynie to, że zwycięski ciemieźca coraz bardziej się srożył i gnębił nieszczęśliwy naród.

Lecz daremnie zaborcy prześladowali Polaków! Rządy krwawego teroru, po każdorazowym powstaniu, chybiały celu i bynajmniej nie stawały się przestrogą dla przyszłych pokoleń, owszem, krew poległych za świętą sprawę budziła nowe zastępy do czynu, do walki o niepodległość.

Dzieje bohaterskich porywów narodu rozpoczyna insurekcja Kościuszki. Na polach Racławic, Szczekocin i Maciejowic lała się krew polska. Wróg jednakże zwyciężył.

Przyszły następnie Legjony. Tysiące Polaków rzucało majątki i rodziny, by, często o żebraczym chlebie, przekradać się do słonecznej Italji, gdzie gen. Dąbrowski tworzył zastępy, którym przyświecała nadzieja, że pod skrzydłami wielkiego geniusza — Napoleona, pokonają państwa zaborcze i wywalczą wolną ojczyznę. To też ze słó-

wami na ustach: „Za waszą wolność i naszą“, przelewali krew w cudzej sprawie na polach Włoch, Austrii i Niemiec, pod skwarnem niebem Egiptu. Zdobyli Saragossę i Samo-Sierrę w Hiszpanii okryli się nieśmiertelną chwałą i sława wojska polskiego szerokiem echem rozeszła się po świecie.

A przecież daremnie płynęła krew nasza na obu półkulach, gdyż nawet parodia dawnego państwa, małe Księstwo Warszawskie, zniknęło wraz z gwiazdą Napoleona. Polacy, mimo to, nie tracą nadziei i sposobią się do nowej walki.

Wybuchła powstanie Listopadowe, które, po kilkumiesięcznych zmaganiach się z wrażą potęgą, znowu przynosi klęskę, a z nią rozgoryczenie i smutek. Stan ten trwał długo, bo lat przeszło trzydzieści. Pod krwawymi rządami despotów, jakimi byli car Mikołaj I i jego namiestnik w Królestwie, wszechwładny Paskiewicz, zamarło, zda się, życie narodowe w kraju. Lepsze bowiem warstwy społeczeństwa, albo dobrowolnie uszły zagranicę, lub też, zesłane na Sybir, męczyły się w kazamatach, kopalniach i tajgach.

Jednakże młodsze pokolenie, wychowane w tradycji ojców i dziadów, dyszało żądzą wolności i pomsty za krew przelaną narodu. Gorąca, zapalna młodzież wiąże się w sprzysiężenia i siecią ich pokrywa kraj cały. Celem ich jest nowe zbrojne powstanie, na które nie zgadza się jeszcze starsza i bardziej umiarkowana część narodu, pamięta bowiem dobrze niedawną klęskę i zawiedzione nadzieje.

A sytuacja obecna przedstawia się stokroć gorzej. Rosja ma na usługach swoich dobrze zorganizowaną policję, bogaty skarb, a przede wszystkim stutysięczną armję, rozłożoną w najważniejszych strategicznych punktach kraju.

To wszystko nie przeraża jednak młodych zapaleńców. Urządzają w kraju, a przede wszystkim w Warszawie, manifestacje patriotyczne. Przygodni mówcy, najczęściej z grona młodzieży uniwersyteckiej, wygłaszają płomienne mowy o powstaniu Listopadowem, o Kościuszcze i Kilińskim, których portrety rozdają zwykle pomiędzy uczestników obchodów. Na nic nie zdały się represje rządu, jak kara więzienia i śmierci, strzelanie do tłumów, ogłoszenie obłężenia. Spiski zataczały coraz szersze kręgi i coraz więcej młodzieży wszelkich stanów garnęło się pod sztandar tajnego Komitetu Centralnego.

I rzecz dziwna, wytworzyły się i działały w jednym państwie dwa rządy: niby legalny — rosyjski i nielegalny — polski!

Daremnie starała się go wykryć żandarmerja rosyjska. Zarządzenia, opatrzone pieczęcią Rządu Narodowego, miały moc obowiązującego prawa, któremu wszyscy byli posłuszni. Ściągał ten rząd podatki, prowadził propagandę, roztaczał opiekę nad każdym okręgiem i wykonywał wiele innych czynności, a wszystko dzięki temu, że na usługach jego stali nie tylko wszelkiego rodzaju urzędnicy państwowi, lecz nawet policja. Możliwe, że w ten sposób kraj przygotowałby się do powstania, tak, że onoby się powiodło.

Przeznaczenie jednak chciało inaczej. Na drodze bowiem tajnego rządu znalazł się naczelnik rządu cywilnego, margrabia Aleksander Wielopolski. Był to umysł genialny, mąż o nieugiętej woli, dumny i żądny sławy, kochał również ojczyznę i pragnął jej dobra, lecz do

osiągnięcia tegoż dążył innemi drogami, niż „czerwoni”. Sądził on, że Polska powinna zapewnić sobie dobrobyt, bogactwo i pomyślność przez połączenie się i współdziałanie z Rosją, gdyż walka z nią może doprowadzić kraj do jeszcze większej ruiny. Z tej przyczyny margrabia potępiał myśl o powstaniu i postanowił wypłenić ją z umysłów młodzieży. Chwytał się więc rozmaitych środków, byle tylko zniszczyć organizację „czerwonych” i „przeciwać wrzód”, a gdy to mu się nie udawało, wprowadził w moc prawo o brance, zaniechane już w 1859 roku, a polegające na tem, że w nocy policja porywała podejrzane osoby i odstawiała do więzień, ażeby następnie wcielić je do wojska. W ten sposób groziło krajowi całkowite ogołocenie z młodzieży.

Rząd Narodowy nie mógł na to pozwolić, więc chociaż nie posiadał ani broni, ani pieniędzy, ani wyszkolonego wojska — musiał ogłosić powstanie. Nie posiadało ono żadnych widoków powodzenia i zdawało się, że upadnie odrazu.

Przewidywania jednak zawiodły i powstanie nie tylko trwało, lecz nawet rozszerzało się i ogarniało, jak płomień, coraz więcej ziem i prowincyj. Zarówno młodzież, jak i starsi śpieszyli ochotnie w szeregi powstańcze, które rosły nieustannie i szarpały wojska rosyjskie w ciągłych utarczkach i bitwach. Moskale rozporządzali licznymi pułkami wyszkolonych żołnierzy pod wodzą doświadczonych i obytych z wojną dowódców, mieli w ręku silne twierdze, środki komunikacyjne, zapasy żywności i amunicji. Po stronie polskiej natomiast walczyły szczupłe, rozsypane po lasach i komyszach oddziały młodzieży, złe odziane, bez broni i zapasów żywności. Każdy powstaniec sam sobie był wodzem, sam uczył się strategii w obliczu wroga, chociaż często nie umiał jeszcze należycie obchodzić się z bronią. Jednak wszystkie te braki pokrywał niesłychany zapał dla sprawy, zapał, który ogarnął szerokie warstwy społeczeństwa, gdyż w szeregach powstańców walczyli zarówno mieszczaństwo i rzemieślnicy, jak szlachta i chłopci. Ci ostatni wszakże, mimo dekretu o uwłaszczeniu, odnosili się do sprawy naogół obojętnie, niejednokrotnie nawet wrogo, a to dlatego, że przywiązani do roli dziedzica, często nadmiernie wyzyskiwani, nienawidzili swych panów i nieufnie odnosili się do powstania, które uważali za dzieło szlachty.

Jednakowoż nie wszędzie tak było; tam bowiem, gdzie dwór dobrze obchodził się ze wsią, wspomagając ją i darząc opieką, chłop gotów był do przelania ostatniej kropli krwi za sprawę narodową. Chłop uświadomiony i rozumiejący cele powstania brał w niem chętnie udział, na co posiadamy liczne dowody. Tak było na Podlasiu, gdzie walczył ks. Brzóska, tak było i na Żmudzi, gdzie w szeregach powstańczych, szczególnie zaś w oddziale ks. Mackiewicza, znajdowali się prawie sami chłopci.

Bodajże większy udział w powstaniu, niż chłopci, wzięli rzemieślnicy i robotnicy, z których łona wyszedł jeden z najdzielniejszych uczestników walk o niepodległość — Marcin Borelowski, ukrywający się pod pseudonimem „Lelewel”.

Był to człowiek niepośledni, wyrastający ponad miarę swego otoczenia. Znakomity organizator, wpływowy i zręczny agitator, wyróżniał się jeszcze jako niezrównany partyzant, który często staczał

zwycięskie bitwy z wrogiem i przeprowadzał niespostrzeżenie pod bokiem nieprzyjaciela całe oddziały. Wywierał przytem jakiś dziwny urok osobisty i dzięki niemu szybko werbował coraz to nowe oddziały. Cnotami zaś swemi i poświęceniem się dla sprawy zyskiwał nie tylko miłość podwładnych i towarzyszków broni, lecz i szacunek najzagorzalszych przeciwników powstania.

Borelowski urodził się 29 października 1830 r. w Półwsiu Zwierzynieckiem koło Krakowa. Życie jego od dziecka nie było usłane różami, gdyż straciwszy wcześniej rodziców, nieraz zaznał dość nędzy i głodu. Przy pomocy rodzeństwa ukończył szkołę miejscową, a następnie uczęszczał do niższego gimnazjum w Chrzanowie, gdzie szczególnie polubił historję, geografję i matematykę. Jako 16-letni chłopiec, brał żywy udział w wypadkach 1846 roku i nawet dostał się do więzienia, oraz otrzymał chłostę za przenoszenie broni powstańcom. Po opuszczeniu więzienia obrał sobie zawód blacharski, a chociaż praca zajmowała mu cały dzień, to jednak znajdował wieczorami dość czasu na pogłębianie swej wiedzy i czytanie dzieł historycznych, z których dowiadywał się, że Polska niezawsze jęczała pod jarzmem zaborców, że niegdyś Polacy przodowali innym narodom, a mieszczanin polski, rzemieślnik i kupiec współzawodniczyli ze szlachtą w służbie dla ojczyzny.

W 1860 roku przybywa Borelowski do Warszawy, pozyskuje bezwzględne zaufanie młodzieży rękodzielniczej i staje się niejako pośrednikiem między nią, a Komitetem Centralnym. Działalność jego w stolicy jest niezmiernie ruchliwa i owocna. Organizuje masy młodzieży rzemieślniczej, urządza wraz z innymi manifestacje, prowadzi tajną drukarnię, pisze płomienną odezwę i przyczynia się znakomicie do utworzenia wybornej policji narodowej. Z tejże młodzieży rzemieślniczej tworzy także zastęp instruktorski, który rozprasza się po miasteczkach i wsiach, aby przygotować lud do wzięcia udziału w walce.

8 lutego wyrusza na Podlasie, by tam, zgodnie z poleceniami Rządu Narodowego, wzniecić powstanie. Z łatwością zbiera oddział, składający się z 400 ludzi, następnie łączy się z ks. Brzóska i wkracza do Łukowa, skąd wypiera Moskali. Z Łukowa wyrusza w kierunku południowo-zachodnim i, niszcząc po drodze mosty, drogi i telegrafy, wkracza do Baranowicz, gdzie zabiera kasę wojenną. Równocześnie rekonesans jego, złożony z 15-u konnych, łupi kasę rządową w Kocku. Rozwścieczeni tem Moskałom, wysyłają pułkownika Ćwiecińskiego ze znacznym oddziałem w pogoń za Lelewelem, który zmienia kierunek i zdąża szybko na wschód, ku Włodawie. Ćwieciński forsownym marszem dopędza tylną jego straż i, rozprószywszy ją wystrzałem z dwóch dział, wraca spokojnie do Kurowa, gdzie składa relację o świetnie odniesionem zwycięstwie. Uwolniony od pogoni Lelewele przybywa do Włodawy i zabiera znowu z kasy rządowej 12.000 rubli. Zniszczywszy mosty na rzece Włodawce, rozkłada obóz pod wsią Adamkami, ażeby dać wypoczynek znużonemu żołnierzowi i przygotować go do dalszej walki. Na wieść o zrabowaniu kasy we Włodawie, wysyłają Moskale przeciw niemu majora Jołszyna z dwoma kompanjami i 60-ciu kozakami.

Jołszyn, nauczony doświadczeniem Ćwiecińskiego, postępuje już o wiele przezorniej. Wysyła więc najpierw szpiegów, którzy zbadali

stanowiska powstańców, a dopiero w samo południe podkrađa się pod obóz i uderza na spożywających posiłek. Zdawało się, że otoczony przeważającymi siłami oddział, nie ujdzie pogromu. Lelewel jednak nie stracił ducha; zebrawszy koło siebie powstańców, zdołał przedrzeć się przez żelazny pierścień wrogów i ujsć pogoni. Mimo to klęska była wielka. Powstańcy stracili kilkudziesięciu zabitych i rannych, cały tabor z zapasami żywności i z pieniędzmi.

Dopiero po kilkunastu dniach zdołał Lelewel zebrać rozprószony oddział i jako tako zorganizować go w lubartowskich lasach. Tam też postanowił wypocząć i doprowadzić do porządku swą partję, która przetrzebiona w licznych potyczkach, liczyła zaledwie około 200 ludzi, uzbrojonych w broń myśliwską, kosy i piki.

Ale Moskale nie pozwolili długo wypoczywać powstańcom. W kilka dni po niedawnej bitwie napadli ich powtórnie w siłę kilku kompanij piechoty, szwadronu jazdy i półtorasta kozaków. Cofnąć się było niesposób i Lelewel przyjął beznadziejną bitwę, która trwała blisko dwie godziny. Daremnie zmagala się z wrogiem waleczna młodzież. Przemoc zwyciężyła. Po stronie polskiej legło 14-tu oficerów i 42 żołnierzy, zaś Rosjanie stracili 3-ch oficerów i 96 żołnierzy.

Dzienniki rosyjskie wyolbrzymiły, jak zwykle, zwycięstwo, głosząc, że nawet sam Lelewel zginął. Rychło jednak przekonali się o mylności tych pogłosek, bowiem Lelewel, spotkawszy niespodziewający się wroga oddział rosyjski pod Janowem Lubelskim, zadaje mu dotkliwą klęskę.

W tym czasie otrzymuje Borelowski polecenie Rządu Narodowego, aby utworzył nowy oddział. Przechodzi więc granicę Galicji i stara się jak najprędzej wypełnić rozkaz. Równocześnie wysyła swego adjutanta, poetę Mieczysława Romanowskiego do Lwowa po broń. Romanowski otrzymuje od tamtejszego komitetu 130 sztucerów, 100 pałaszy, mniej więcej 2 centnary prochu, oraz trochę bielizny i butów. W czasie nieobecności Lelewela dowództwo partji obejmuje pułkownik Krysiński, który niewiadomo z jakich przyczyn rozpuścił po pewnym czasie oddział do domów. Borelowski przybywa wreszcie z Galicji z utworzonym tam oddziałem, zasila go niedobitkami z pod komendy Krysińskiego i zapada w lasach tarnogrodzkich nad Tanwią, gdzie ćwiczy swój oddział.

W tym czasie sprawa Polska zajmowała wszystkie umysły Europy. Odbywały się tłumne zebrania w Londynie, Paryżu, Brukseli, Lizbonie i innych miastach, gdzie radzono nad udzieleniem pomocy Polakom. Sprawa nasza znalazła się nietylko na szpaltach dzienników, lecz roztrząsano ją na obradach parlamentów. Dyplomacja europejska zachęcała do prowadzenia dalszej walki. Napoleon III, z którego zdaniem liczyły się wszystkie państwa ościenne, rzucił pamiętne hasło „Durez” — Wytrwajcie! Więc też powstanie trwało. Starano się, żeby walka nie ustała ani na chwilę.

Z tego też powodu Lelewel nie tracił czasu na dalsze werbowanie ochotników, lecz starał się swój oddział jak najprędzej uczynić zdatnym do boju. Partja, składająca się z trzystu ludzi, gorączkowo się ćwiczyła. Wódz zachęcał swych żołnierzy i sam dawał przykład, znosząc na równi z nimi trudy mroźnej zimy. Jadał z nimi

z jednego kotła. Spał, jak inni, na twardej, przemrożonej słomie. Swym beztroskim humorem i żywym temperamentem utrzymywał wesoły nastrój w obozie.

Niewiele miał czasu Lelewel na wyćwiczenie swego oddziału, gdyż Moskale nie pozostawili go w spokoju i 16 kwietnia otoczyli go pod wsią Borowe — Młyny.

Lelewel, mimo dobrej pozycji, nie mógł przyjąć bitwy, ponieważ wróg przewyższał go prawie dziesięciokrotnie; rozdzielił więc oddział na dwie kolumny i począł cofać się w stronę Józefowa. Wydobyto się z matni, stracono jednakże około 70-ciu ludzi. Włościanie tamtejsi zajęli bardzo przychylne stanowisko względem powstańców. Dzięki im Lelewel znał najdrobniejsze ruchy wroga i przyjął bitwę w takich warunkach, że Rosjanie zostali pobici na głowę. Rannych Polaków zabrali włościanie do swoich chat i otoczyli ich troskliwą opieką; prócz tego zaopatrywali oddział we wszelkie potrzebne rzeczy, a przede wszystkim w żywność.

Wkrótce po józefowskiej walce stoczono powtórnie zwycięską potyczkę z Moskalami między wsią Łukową a Zamchem. Lelewel, chcąc dać wytchnąć swoim ludziom, rozbił obóz w lasach ordynackich, gdzie otrzymał od Rządu Narodowego nominację na pułkownika i naczelnika siły zbrojnej w województwie podlaskim. O obozie Lelewela rychło dowiedzieli się Rosjanie i wyprawili przeciw niemu sporo wojska, pragnąc nareszcie z nim się uporać. Lelewel zaskoczony, widząc przewagę wroga, począł się cofać. Osłonę oddziałów stanowiło 70-ciu ochotników pod wodzą Romanowskiego i Wasilewskiego, słuchacza uniwersytetu w Kijowie.

Ochotnicy, broniąc odwrotu, walczyli jak lwy. Wpędzeni w bagna, nie widząc znikąd ratunku, drogo sprzedawali swe życie, kładąc gęsto trupem Moskali. Polaków zginęło wtedy 38, a w ich liczbie znaleźli się wyżej wspomniani: Wasilewski i Romanowski, utalentowany poeta, którego zgon pogrążył w smutku głębokim nie tylko Lelewela, ale i całą Polskę.

Uszczuplony znacznie oddział, przeszedł po tej walce granicę, celem uzupełnienia i zaopatrzenia się w furaz.

W Galicji Borelowski formuje niestrudzenie coraz to nowe oddziały, zaopatrując je w amunicję i broń. Odznacza się przytem niesłychaną brawurą. O ile zajdzie potrzeba, gotów jest w żebraczym stroju przebiegać środkiem wojsk rosyjskich, lekceważąc niebezpieczeństwo do najwyższego stopnia. Zorganizowane w Galicji oddziały przeprawia do Królestwa, a sam staje również na czele takiej partji i powraca w lubelskie.

Dnia 18 maja rozpędza pół sotni kozaków pod Tyszowcami, przyczem odznaczają się w walce chłopci — kosynierzy. Następnego dnia spotyka się partja ze znaczniejszą siłą Moskali i, nie mogąc jej podolać, rozprasza się. W krótkim czasie jednak zbiera się, a złączwszy się z oddziałami Ruckiego i Kossakowskiego, dochodzi do pokażnej liczby 1000 ludzi. Borelowski, czując się teraz na siłach, urządza 10 czerwca pod wsią Korytnicą zasadzkę na Rosjan, którzy przewozili do Dębłina pieniądze. Zasadzka się nie udaje, gdyż nieczesny strzał budzi czujność Moskali, którzy sprawiają szyki i śmia-

łem natarciem rozbijają kosynierów. Lelewel zarządza odwrót, podczas którego ginie między innymi Kalikst Ujejski, brat poety, Kornela Borelowski, uciekając przed pogonią, przechodzi Żelechów, przeprawia się przez Wieprz i spotkawszy na swej drodze sotnię kozaków, wiozącą pocztę, rozbija ją. Przestraszeni Moskale ściągają z Siedlec i Warszawy wojsko, złożone z dwu tysięcy piechoty, kilku sotni kozaków i czterech dział. Dopadają Lelewela pod wsią Różą. Przez siedem godzin toczy się zażarta walka, w której powstańcy ponoszą dotkliwą klęskę i muszą uchodzić, tracąc cały swój tabor z bronią, amunicją i żywnością.

Teraz rząd rosyjski postanowił wszelkimi możliwymi środkami zdławić powstanie. Zaczęto stosować represje względem ludności. U steru władzy stanęli ludzie, nie cofający się przed żadnym gwałtem, jak Murawjew i Berg. Na ludność nakładano wysokie kontrybucje, grabiono dobytek, puszczano z dymem wsie i miasta. W tych warunkach utrzymanie powstania i zasilanie go czy to żołnierzem, czy też niezbędnymi produktami, natrafiało na niesłychane trudności. Jedyne z Galicji można było sprowadzać potrzebny materiał, więc też tam wysyłał Rząd Narodowy po posiłki coraz nowych ludzi.

W ich rzędzie znalazł się i Borelowski, który cieszył się ogromną popularnością i z łatwością umiał zjednywać sobie ludzi. Dlatego, mimo chęci dalszego walczenia osobiście, musiał zajmować się zbieraniem i ćwiczeniem oddziałów, które przekazywał innym dowódcom.

Oddziały te formował przeważnie z warstw robotniczych, rzemieślniczych i chłopskich, chociaż szlachty również w nich nie brakło. Z wiarogodnych źródeł wiemy, że partje te stanowili przeważnie rzemieślnicy i robotnicy z dawnej Małopolski.

20 sierpnia wyrusza Borelowski ponownie na pole walki. Partja, złożona z około tysiąca ludzi, zebranych w Przemyślu, Medyce, Krasieczynie, Stubnie i Sieniawie zdąża cichaczem ku granicy. Po przejściu tejże, założono w dogodnym miejscu obóz, zaopatrzone go w żywność, rozdano amunicję i zaczęto ćwiczyć młodych żołnierzy. Sztab tego oddziału był wyborowy. Szefem został Węgier, baron Walisch, zaś komendantem kawalerji również Węgier, mąż szalonej odwagi, hrabia Edward Nyary. Prócz nich znalazł się Grodziński, był oficer rosyjski, następnie Gustaw Zakrzewski, nieustraszeni bracia Jasińscy, uczeń szkoły wojskowej w Cuneo — Władysław Ryłski wreszcie bracia Przasnawscy, Pieniążek i wielu, wielu innych, nie mniej dzielnych i zasłużonych.

Dowiedziawszy się o klęsce Kruka pod Fajslawicami, Lelewel zwija obóz i spieszy na północ, w kierunku Tarnobrodu. Tak dochodzi aż do Terespola, gdzie czując się bezpiecznym, postanawia odpocząć. Niedługo jednak popasa, ponieważ Moskale dowiadują się od szpiegów o miejscu jego postoju i wysyłają przeciw niemu wojsko. Ostrzeżony Lelewel uchodzi do pobliskich lasów. W drodze jednak spotyka Rosjan, którzy ogniem działowym rozpoczynają go prażyć. Powstańcy z błogosławieństwem kapelana obozowego ruszają śmiało w bój i zachowują się jak starzy żołnierze, drwiąc z kul armatnich i wykonywując ściśle rozkazy dowódców. Walka była ciężka. Moskale, w sile trzech tysięcy ludzi, starali się koniecznie ich



LEKCJA Z CHEMJI W PRACOWNI (KL. VII)

przemóc. Szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę. Wkońcu siły naszych poczęły się wyczerpywać, świeżego żołnierza brakło, reszta znużona bojem, chwieje się i cofa. Walka zakończyłaby się klęską naszych, gdyby nie świeżo przybyły oddział Ćwieka, który brawurowym atakiem odrzucił Moskali, zajął wieś i zapewnił powstańcom zwycięstwo. Rosjanie pierzchnęli w sromotnej ucieczce, pozostawiając na placu cały obóz, znaczną ilość broni ręcznej i amunicji, dwa działa, oraz kilkuset rannych i zabitych. Walka ta, stoczona w dniu 3 września, była jedną z największych i najpiękniejszych w dziejach powstania.

Rosjanie, wściekli z powodu doznanej klęski, zgromadzili pod dowództwem majorów: Jołszyna i Sternberga załogi ze wszystkich okolicznych miast, w sile 19 rot piechoty.

Lelewel stanął chwilowo w Otroczy, by pozwolić wytchnąć żołnierzowi i zaopatrzyć się w żywność. Tam doniesiono wodzowi o wielkiej sile wojska, wysłanego przeciw niemu. Zostać na miejscu było niepodobieństwem. Wyruszone więc dalej i po 3-dniowym marszu zapadłemi lasami i łożyskami potoków, zatrzymano się 6 września pod wsią Batorzem. Dzień był świąteczny. Powstańcy, nie spodziewając się w tej okolicy wroga, rozłożyli obóz, starszyzna zaś udała się do pobliskiego kościółka na nabożeństwo. I oto w chwili, gdy wszyscy zabierali się do spoczynku, donosi, rozstawiający warty rotmistrz Kellerman, że zbliżają się znaczne zastępy nieprzyjacielskie. W obozie zapanował popłoch. Jeden kapitan Czaplicki nie stracił głowy, sformował błyskawicznie swą sprawną kompanię i stawiał opór Rosjanom. Na odgłos strzałów przybiegli natychmiast dowódcy z Lelewelem, który zarządził odwrót. Pod osłoną kompanii Czaplickiego cofnęli się powstańcy w lasy i zatrzymali nad głębokim parowem, celem powzięcia decyzji. Zdania były podzielone. Lelewel, widząc zbytnią przewagę wroga, radził unikać Rosjan, lecz większość obstawała za podjęciem walki, co też uczyniono. Powstańcy spodziewali się, że Moskale zapędzą się do wąwozu i wpadną w przygotowaną pułapkę. Tak się jednak nie stało. Czy przewidując niebezpieczeństwo, czy ostrzeżeni przez szpiegów, że Polacy zajmują oba wzgórki nad parowem, obezszli wzgórze i całą siłą natarli na odsłonięte szeregi powstańców. Położenie stało się rozpaczliwe, bowiem zajmując nagie zbocza wzgórz, stanowili doskonały cel dla armat i karabinów, które czyniły coraz większe wokół spustoszenie. Partja topniała w przerażający sposób. Dowódcy nasi posiadali z koni, ażeby łącniej zagrzewać żołnierzy do dalszego oporu. Padł ciężko ranny szef sztabu, Walisch, a umierając z uśmiechem na ustach, zegnał swego pułkownika słowami: „Serwus kolego“. Borelowski, raniony w nogę, opiera się na najbliższym towarzyszu broni i walczy dalej, gdy nagle kula przeszła mu wnętrzości i szarpie jelita. Zachwiał się pułkownik i padł, a wyniesiony z placu boju, za chwilę skonał. Rozbity oddział pierzchnął w gęstwiny leśne. Na drugi dzień mieszkańcy Batorza odnaleźli na pobojowisku skłute spisami i obnażone ciała Borelowskiego i Walischa. Zwłoki bohaterów pochowano w jednym grobie, którego skromny pomnik ozdobił następujący napis:

Śpi sobie blacharz — pułkownik,
Kozacka nie drży już spisa,

Tu go dopadli, pokłuli,
Od wrażej zginął on kuli,
Śpi obok szefa Walischa.

Tak skończył jeden z bohaterów powstania 63 roku, Marcin Borelowski. Całe jego życie było dowodem bezgranicznego umiłowania ojczyzny. Dla niej poświęcił swój byt, przyszłość swoją. Pracował wszędzie, gdzie tylko mógł się przysłużyć sprawie ojczystej, nie zabiegając o zaszczyty, ni sławę. Uwijał się czynnie i bez szemrania spełniał rozkazy Rządu Narodowego, chociaż często nie zgadzały się z jego planami, aż wkońcu życie oddał za umiłowaną wolność.

Podobnych jemu ludzi było więcej w szeregach powstania. Nie zważali oni na spory, toczące się w łonie Rządu Narodowego, który prawie co miesiąc zmieniał swych członków, lecz trwali na stanowiskach i z uporem prowadzili beznadziejny bój, zwracając tylko tęskne oczy na Zachód, skąd spodziewano się pomocy. Europa jednak zawiodła, a powstańcy, zdani własnemu losowi, dobywali resztek sił. Około 50 tysięcy najlepszych synów ojczyzny położyło głowy na polach bitew, gniło w więzieniach i jęczało w katorgach Sybiru. Powstanie upadło, lecz idea jego żyła głęboko w duszy narodu, aż doczekaliśmy się wkońcu wyzwolenia.

Franciszek Ksawery Józwiak, kl. VII.

Wrażenia z pielgrzymki do Rzymu

na Uroczystości Jubileuszowe od 17 — 31 lipca 1929 r.

W ubiegłym roku Ojciec św., Pius XI, obchodząc 50-lecie pracy kapłańskiej ogłosił nadzwyczajny jubileusz. Obowiązkiem dobrych dzieci Kościoła było za Jego pracę i trudy złożyć Mu wyrazy czci i hołdu, miłości i synowskiego przywiązania. Z tym zamiarem zdążyły liczne pielgrzymki różnych narodów i stanów do Rzymu.

W pierwszych szeregach pospieszili na dzień 21 lipca klerycy seminarjów całego świata. Oprócz Europejczyków byli: Amerykanie, Australczycy, Murzyni, Chińczycy i Japończycy. Nie mogło więc zabraknąć też i kleru polskiego. Z inicjatywy Episkopatu polskiego została zorganizowana pielgrzymka kleryków w liczbie 20-tu osób, by oddać hołd Ojcu św. i otrzymać błogosławieństwo nie tylko dla siebie, ale i dla rodaków. W ich liczbie znalazłem się i ja. Radość nieopisana opanowała me serce, kiedy dowiedziałem się od ks. Dyrektora, że dzięki J. E. Ks. Biskupowi, będę mógł zobaczyć stolicę chrześcijaństwa — Rzym.

Chwili wyjazdu oczekiwałem z wielkiem upragnieniem, a kiedy nadeszła, zasilony Komunią św., wyruszyłem z rodzinnego miasteczka Żelechowa do Warszawy, by tutaj w murach seminaryjnych połączyć się z całą pielgrzymką. Po obiedzie udaliśmy się do J. Em. ks. Kardynała A. Kakowskiego, który udzielił nam błogosławieństwa na dro-

gę. Gdy nadeszła 14 godz. 50 min. nastąpił odjazd. Na dworcu głównym zegnał nas J. E. ks. Biskup Gall. Dano sygnały, zwiastujące odjazd. Pociąg rusza, mknie w niezglębioną dal.

Długi dzień letni miał się już ku końcowi, gdy w cichej i świetlanej glorji pogody ukazała nam się Jasna Góra ze strzelającą w przestworza wieżycą kościoła, na tle szafirowego nieba, które bladło u skłonów, świecąc ogromną tarczą słoneczną, samotnie ku ciemnemu borowi płynącą. Odmówiłem serdecznie „Pod Twoją obronę“, oddając się w opiekę Najświętszej Królowej naszej, a potem sięgnąłem po posiłek, bo głód zaczął mi dokuczać.

Kiedy zaspokoilem uczucie głodu i spojrzałem w okno słońce, znużone całodzienną podróżą w przestworzach, purpurowe całe, ukryło się już do połowy, hen, za borem. Powoli zapadał zmrok. Rozpościerał swe szerokie sieci nad światem, wyławiając ostatnie promyki bladego światła. Jednocześnie na ciemnym firmamencie zabłyśły roje migotliwych gwiazd.

Wkrótce wjeżdżamy na terytorjum najbardziej uprzemysłowionej części kraju — Śląska. Z mroków tu i owdzie wysuwają się szeregi kominów i zabudowań fabrycznych i błyszczą lampki elektryczne. Powietrze ciężkie, przesiąknięte dwutlenkiem węgla.

Znużony ciągłem przypatrywaniem się okolicom, pragnąłem wypocząć, ale częste przystanki, ciężkie sapanie lokomotywy uniemożliwiały sen.

Nocą przyjeżdżamy do Zebrzydowic, gdzie w ciągu godziny następuje załatwienie formalności paszportowych, rewizja celna i zmiana personelu kolejowego z polskiego na czeski. Szybko upływa godzina. Pociąg rusza w dalszą drogę i po kilku minutach znajdujemy się na terytorjum czeskiem.

Niestety, ciemna noc i senność nie pozwalają mi obserwować krajobrazu. Więc kładę się na spoczynek i dopiero budzi mnie brzask poranku. Przed nami w dali, u stóp wzgórza Kalembergu, z którego król polski, Jan Trzeci, prowadził atak na Turków, rozpościera się Wiedeń. Przejeżdżamy most na Dunaju i zatrzymujemy się na stacji.

Po półgodzinnym postoju, przesiadamy się do innego pociągu, który odchodzi do Rzymu. Chcąc powetować straty nocy ubiegłej, poniesione w obserwowaniu okolicy, obecnie ze zdwojoną uwagą wytężam wzrok, by nie stracić z oczu żadnego pięknego widoku. Zaraz za Wiedniem teren z falistego przechodzi w pagórkowaty, a dalej — górzysty. I dopiero z tą chwilą oczy me przykuwa nowy, o wiele wspanialszy od dotychczasowych, widok — niebotyczne łańcuchy Alp. Pod nami rozciągają się przyprószone zielenią doliny, poprzerzynane błękitnymi wstęgami wartko płynących rzek, a nad nami niebo szafirowe, wytkane srebrnymi obłokami. Od czasu do czasu dają się słyszeć sygnały, oznajmiające, że za chwilę zagłębimy się w tunel. Sygnały powtarzają się coraz częściej, bo i tunele co kilka minut następują po sobie, a bezpośrednio po nich mosty rzucone nad przepaściami. Sapanie lokomotywy i wytężona jej praca wzrasta z każdą chwilą, gdyż i teren się wznosi. Po południu wreszcie osiągamy najwyższy, a zarazem najbogatszy w malownicze okolice szczyt, Semmering. Również i na tych wysokościach spostrzegam ku wielkiemu me-

mu zdziwieniu, wśród zieleni drzew, wspaniałe wille, wieżycy kościołów, drzemiące ruiny dawnych zamków obronnych i wiele innych zabytków średniowiecza. Wśród takiego otoczenia szybko upływa mi dzień.

Około 6-ej godziny wieczorem przejeżdżamy granicę włoską i zatrzymujemy się na pierwszej włoskiej stacji Tarwizio. Zziębnięta lokomotywa oddycha ostatkiem sił, wypoczywa, by nabrać nowych i pochłania olbrzymią ilość zimnej, górskiej wody, by ugasić pragnienie.

Znika straż austriacka, a na jej miejsce zjawia się włoska. Czarne koszulki znamionują faszystów.

Stąd przez Wenecję jedziemy do Rzymu. Następnego dnia, około pierwszej godziny po południu, w gorączkowym nastroju oblegamy okna wagonu, by ujrzeć w dali sylwetkę Wiecznej Romy.

Wreszcie osiągamy cel naszej podróży. Na wszystkich obliczach promienieje jakaś niewypowiedziana radość. Oczy skierowują się na wylaniającą się ze spiętrzonych chmur kopułę bazyliki św. Piotra.

Na dworcu księża-polacy serdecznie nas witają. Razem z nimi zdążamy na ul. Pietro Cavallini, do Instytutu Polskiego, gdzie na czas pobytu w Rzymie zostaliśmy umieszczeni. Tego samego jeszcze dnia pod przewodnictwem księży-studentów, Polaków, zwiedzamy stary i nowy Rzym.

Rozpoczynamy od najbardziej interesującej każdego bazyliki św. Piotra. Na ogromnym placu przed bazyliką, otoczonym wspaniałą kolumnadą, widnieje pośrodku największy obelisk świata bez hieroglifów, który ma 41 mtr. wysokości. Z dwóch stron obelisku znajdują się dwie wielkie fontanny, zasilane wodą, sprowadzaną z jeziora de Bracciano. Po wspaniałych schodach, jedną z pięciu bram, wchodzimy do wnętrza bazyliki. Pierwsze wrażenie nie odpowiada wcale wielkości tego przepięknego gmachu, a to z powodu zespołu harmonijnego wszystkich jego części i ozdób architektonicznych. Ale postępując naprzód i przyglądając się uważnie szczegółom, doznajemy uczucia zdziwienia na widok tego kolosu. Sklepienie bazyliki jest ozdobione rozetami złożonemi, a filary, jak i podłoga, pokryte są marmurem.

Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy wchodzącemu, to olbrzymi baldachim, cały z bronzu, podtrzymywany przez cztery kolumny ślimakowate z tego samego metalu, bogato ozdobione złożeniami. Pod nim to mieści się ołtarz papieski, poniżej „Konfesja“, zawierająca grób św. Piotra. Jest ona otoczona balustradą, na której stoją brązowe, złożone lampy, palące się dniem i nocą.

W kopule, pod którą umieszczona została Konfesja, znajduje się we fryzie wielkimi literami niebieskimi, posiadającymi około 1 m. 40 cm. wysokości, ułożony z mozaiki następujący napis: Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo ecclesiam Meam et tibi dabo claves Regni coelorum.

Łuki kopuły są ozdobione czterema medaljonami mozaikowymi, przedstawiającymi czterech Ewangelistów. Pióro św. Marka ma dwa i pół metra długości. Z tego napisu i medaljonu możemy wnosić o wielkości kopuły, która wsparta jest na czterech, olbrzymich rozmiarów filarach.

Później zwiedzający gubi się wśród niezliczonej ilości mozaik, rzeźb i obrazów. Zapamiętałem sobie mozaikę: „Złożenie do grobu Pana Jezusa“ w kaplicy N. Sakramentu, mozaikę: „Męczeństwo św. Sebastjana“ w kaplicy tegoż świętego i mozaikę: „św. Bazyli, odprawiający Mszę św. wobec cesarza Walensa“. W podziw wprawił mnie prześliczny tron Ojca św., zbudowany według rysunku Michała Anioła.

Poza tem do późna wieczorem zwiedzamy kościół „Al Giesu“ i przy trumnie naszego współrodaka, wielkiego męczennika, błogosławionego Andrzeja Boboli, modlimy się.

W następnym dniu, t. j. 20 lipca, słuchamy Mszy św. w kościele św. Andrzeja na Kwirynale, którą celebrował ks. prałat Kępiński przy ołtarzu św. Stanisława Kostki, gdzie spoczywają właśnie relikwie tego świętego młodzieniaszka, syna polskiej ziemi. Zwiedzamy przytem celę św. Stanisława, w której umarł, obecnie zamienioną na kaplicę. Tu wpisujemy się do księgi pamiątkowej. W dalszym ciągu zwiedzamy kościół św. Ignacego, gdzie w ołtarzach spoczywają w urnach ciała: św. Alojzego Gonzagi i św. Jana Berchmansa, kościół św. Augustyna, który jest kościołem tytularnym Kardynała Kakowskiego, posiadający wewnątrz statwę Dziewicy z Dzieciątkiem Jezus, czczoną zwłaszcza przez kobiety, jako „Madonna del Parto“. Po drodze wstąpiliśmy do Panteonu, wspaniałego pomnika dawnego Rzymu. Do dnia dzisiejszego doskonale się zachował w swoim stylu i w swojej pierwotnej formie. Nazwa jego nie wskazuje tego, jakoby miał być poświęcony wszystkim bogom, lecz, że wszystkie kulty były w Rzymie tolerowane. Został on zbudowany przez cesarza Agryppę, zięcia Augusta.

Po południu kolejką elektryczną udaliśmy się do Ostji. Pogoda była wspaniała, niebo urocze, bez żadnej chmurki, słońce dogrzewało. Wkrótce znaleźliśmy się nad morzem. Jak okiem sięgnąć woda i woda, która gdzieś daleko na horyzoncie niknie. Widok wspaniały. Nad brzegiem gromadki dzieci w kostjumach kąpielowych biegają po piasku, napełniając powietrze wrzawą i piskiem; młodzież na łódkach przerzyna pieniające się fale, lub uprawia ćwiczenia pływackie; starsi, porozkładani na gorącym piasku, opalają się. My również, niewiele się namyślając, wypożyczamy kostjумы kąpielowe i do wody! Przepyszna kąpiel! Morze spokojne, to też daleko odpływamy od brzegu i trzymając się za ręce, podskakujemy i opadamy na fale, przyczem kropelki wody na ustach pozostawiają nam smak słony. Co kilka minut wychodzimy z wody i rozkładamy się na gorącym piasku, by się zgodnie z modą opalić. Kąpiel trwała około 3-ch godzin, a kiedy krąg światła powoli niknął, powróciliśmy do Rzymu.

Z nami wracała również młodzież włoska z nad morza Tyrreńskiego i ochoczo gwarzyła. Z jej ruchów i zachowania się można było wyczytać, że o nic się nie troszczy, że tryska gorączkowem życiem, oblicza były pogodne, pełne wyrazu nieopisanej radości.

21 lipca pierwszą połowę dnia poświęcamy w dalszym ciągu zwiedzaniu. Oglądamy Rzym starożytny, a więc w pierwszym rzędzie Kapitol, choć najmnieszy z siedmiu wzgórz, ale odgrywający najwybitniejszą rolę w historii Rzymu. Tu wieńczono niegdyś w tryumfie wieszczów narodu; tu stała świątynia Jowisza Statora, założona rzekomo przez Romulusa; tu do dziś dnia na pamiątkę owej legendar-

nej wilczycy, która wykarmiła założycieli wiecznego miasta Romulusa i Remusa, i orłów, które przez całe wieki szumiały nad światem, stoją dwie klatki z orłami i wilczycą. Tu w czasach cesarstwa powstały pałace cesarów, które obecnie zajęte są częściowo przez urzędy, a częściowo przez muzeum, które zwiedziliśmy. Z tego wzgórza spogląda na rozpościerające się u stóp jego miasto, konny posąg szlachetnego Marka Aureliusza. Niżej schodzi się na Forum Romanum, gdzie początkowo odbywały się targi, później zebrania ludowe i sądy. Na niem to przez cały czas istnienia państwa rzymskiego skupiało się całe życie publiczne; ono było niejako sercem świata, a dziś jest cmentarzyskiem ruin, żywych kamieni, z których każdy stanowi część historii. Jakby przedłużeniem Kapitolu jest wzgórze Palatyńskie, obecnie schronisko zabytków. W bok od Palatynu wznoszą się potężne mury Koloseum. Tutaj właśnie męczono pierwszych chrześcijan, którzy odważnie szli na śmierć dla Chrystusa. Teraz na środku Koloseum widnieje krzyż. Jak z otwartej książki czyta się tu dzieje przeszłości. Każdy posąg, każda kolumna, każdy najdrobniejszy kamyczek jest zdaniem lub rozdziałem historii, napisanym przez czas, tego naocznego świadka przeszłych wieków. Przed naszymi oczyma żywo stają postacie i różne wydarzenia z dawnych, bardzo dawnych czasów.

Początek uroczystości Jubileuszowych nastąpił tegoż dnia o godzinie 6-ej wieczorem. W kościele św. Ignacego powitał nas sędziwy Kard. Bisletti. Po przemówieniu—wystawienie N. Sakramentu. Jakież podniosły nastrój powiał między nami, gdy z kilku tysięcy piersi uleciała ku niebu pieśń na cześć Boga utajonego w N. Sakramencie!

Dnia 22 lipca o godzinie 8-ej była celebrowana Msza św. w bazylice św. Jana na Lateranie. Ta bazylika jest najstarszą świątynią miasta i świata, co potwierdza napis wyryty na murze: „Omnium Urbis et Orbis Ecclesiarum Mater et Caput”. Pośrodku wielkiej nawy ołtarz pod baldachimem, w stylu gotyckim, podparty czterema kolumnami z granitu. Tam to przechowywane są w kosztownych relikwiarzach głowy św. Piotra i Pawła. Główny ołtarz pokrywa stół z drzewa, a raczej biał, na którym św. Piotr odprawiał Święte Tajemnice. Tutaj jest zawieszona u sklepienia wielka chorągiew Proroka, zdobyta przez króla Jana Sobieskiego pod Wiedniem, przysłana w darze papieżowi. W niszach dwunastu filarów wspaniałe figury Apostołów. W formie klasycznych tych rzeźb został jednakże zaklęty duch chrześcijański. Po nabożeństwie, które odprawił jeden z kardynałów na specjalnie zbudowanym przed Konfesją ołtarzu, odbyła się procesja jubileuszowa, w której wzięli udział klerycy i kapłani całego świata.

Ulicami stolicy państwa kościelnego płynęła długa, nieogarniona okiem wstęga w biel przyodzianego duchowieństwa.

Na godzinę 12-tą zapowiedziana została audjencja u Ojca św. dla seminarjów zagranicznych, tak upragniona przez wszystkich. Z zapartym oddechem, klęcząc, czekaliśmy przybycia Ojca św. Po chwili ukazuje się najpierw w barwnych strojach gwardja papieska, następnie dostojnicy kościoła, a wreszcie sam Ojciec św. i pozdrawia nas w języku włoskim. Poczem z uśmiechniętym obliczem podchodzi do każdego z nas, podaje rękę do pocałowania i zapytuje z jakiej kto diecezji, a idący za nim ksiądz rozdaje na pamiątkę medale i książ-



PRACA W GODZINACH POZALEKCYJNYCH W PRACOWNI SZKOLNEJ

zeczeki. Na sali tymczasem grzmiały nieustanne oklaski, okrzyki radości i śpiewy w różnych językach. Ale najczęściej słychać wołanie Hiszpanów: *Papa, Papa!* Potem nastąpiło długie przemówienie Ojca św. po włosku. Tym razem podkreślił On głównie misjonarskie zadanie kapłana katolickiego. Po audjencji, korzystając z czasu, wchodzimy na dach bazyliki, a stąd na szczyt kopuły, z której rozpościera się wspaniały widok na Rzym, przerznięty błękitną wstęgą Tybru i na jego okolice. Zanim dostaliśmy się tam, już pot oblał mi twarz, a koszula przylgnęła do ciała. Wieczorem byliśmy w Koloseum, by śpiewem i modlitwą oddać hołd bohaterom wiary, poległym tu śmiercią męczeńską.

23 lipca o godzinie 8-ej urządziliśmy defiladę przed Ojcem św. na placu św. Piotra. Ojciec św. przypatrywał się jej z okna swego mieszkania i ruchem ręki okazywał swoje zadowolenie. Przez cały czas trwały okrzyki: „*Eviva Papa! Eviva Papa, Re!*” Następnie wysłuchaliśmy Mszy św. w bazylice. Po nabożeństwie zwiedziliśmy najbogatsze ze wszystkich Muzeum watykańskie i Pinakotekę. Podziwialiśmy światowej sławy arcydzieła takich mistrzów, jak: Michał Anioł, Rafael Santi, Leonardo da Vinci i wielu innych. Wspaniała kaplica Sykstyńska ze swym „Sądem Ostatecznym“, przepiękne „*Stanze*“ przykuwają i oczarowują wzrok nasz; widok ich nie zestarzeje się w pamięci naszej, ani nie zatrze chyba nigdy. Po południu zwiedzamy jeszcze katakumby św. Kaliksta, tak bogate w pamiątki z życia pierwszych chrześcijan. Teraz, kiedy w tych podziemnych, wilgotnych, zimnych i ciemnych lochach chodzimy, doznajemy dziwnego uczucia: budzą one w nas jakiś poważny i głęboki nastrój, a w myśli przesuwają się coraz nowe obrazy bohaterskich ludzi, niosących chętnie życie za wiarę. Te katakumby są najobszerniejsze i najciekawsze ze wszystkich, zwłaszcza, że posiadają one większość grobów papieży z pierwszych wieków Kościoła. W istocie, zaledwie wszedłszy, pod wielką kryptą, nazywaną „*Cubiculum pontificium*“, widzi się fragmenty nagrobków kamiennych wielu papieży; między innymi: św. Antera, św. Łukasza, św. Fabjana, św. Eustachjusza i św. Sykstusa. Dalej w obszernej kaplicy, ozdobionej malowidłami, została pogrzebana św. Cecylja. Wokoło napisy, malowidła bizantyjskie i figury symboliczne; ryba powtarza się bardzo często, ponieważ litery, wchodzące w skład tego wyrazu greckiego, tworzą inicjały słów: *Jezus Chrystus, Syn Boga, Zbawiciel*. Niedaleko katakumb św. Sebastjana zastaliśmy przygotowany podwieczorek. Następnie obejrzelśmy kościół św. Sebastjana, który zawiera między innymi relikwiami kamień z odciskiem stóp Chrystusa i posiada piękną statuetkę św. Sebastjana. Powracając przez *Via Appia*, wstąpiliśmy do malutkiej kapliczki „*Domine, quo vadis*“. Została ona nazwana tak dlatego, że według starego podania św. Piotr, uchodząc w obawie przed prześladowaniem Nerona z Rzymu, spotkał tu P. Jezusa. Zdziwiony zapytał Go: „*Panie, dokąd idziesz?*“ — „*Domine, quo vadis?*“ — Idę do Rzymu — odpowiedział Chrystus — ażeby dać się po raz drugi ukrzyżować. Św. Piotr zrozumiał, że nie należy opuszczać zagrożonej owczarni, powrócił do Rzymu i tu poniósł śmierć męczeńską. Do dzisiaj pokazuje tam kamień, na którym Pan Jezus miał położyć stopę, gdy rozmawiał ze św. Piotrem.

Pozatem zwiedziliśmy bazylikę św. Pawła, wzniesioną przez Konstantego w willi, gdzie Lucyna, szlachetna niewiasta rzymska, zło-

żyła ciało św. Pawła. Kształtem i rozmiarami bazylika ta jest podobną do starożytnych budynków, lecz wspaniała dekoracja podnosi jej charakter religijny. Wnętrze wyłożone drogocennymi marmurami i mozaiką. Na specjalną uwagę zasługuje klasztor, otoczony pięknymi kolumnami różnego kształtu, z których niektóre są pokryte uszkodzonymi mozaikami. Zwiedziliśmy również Opactwo Trzech Żródeł.

Dnia 24 lipca o godz. 8-ej my, Polacy, słuchaliśmy Mszy św. w więzieniu Mamertyńskim, gdzie byli więzieni św. Piotr i św. Paweł. Po nabożeństwie zwiedziliśmy kościół św. Pawła w Okowach, w którym przechowują okowy św. Piotra i słynną statuetkę Mojżesza, dłuta Michała Anioła. Nie tracąc czasu, podążamy stąd do jedynej w swoim rodzaju parku — „Monte-Pincio”. Park ten urządzonej na wyniosłym wzgórzu, jest bardzo piękny. Szerokie aleje, wysadzone oleandrami i przyozdobione popiersiami sławnych i zasłużonych ludzi, robią imponujące wrażenie. Powietrze tu zawsze świeże, przepojone wonią kwiatów i drzew. To też miło wypoczywać w ich cieniu w czasie upałów letnich. Ściągają też liczne rzesze ludu.

O godz. 6-ej wieczorem — audjencia u Ojca św. dla wszystkich uczestników zjazdu. Odbyła się ona pod gołym niebem w obrębie Watykanu. Głos trąb oznajmił przybycie Ojca św. Natychmiast zagrzmiały oklaski i wiwaty. Kiedy orkiestra odegrała hymn papieski, przemówił Ojciec św. i jako upominki na drogę życia dał nam cnoty: pobożność, wiedzę, czystość i pokorę, zawierające się w Eucharystji św. Następnie udzielił wszystkim swego błogosławieństwa i powrócił do swoich apartamentów.

W dniu 25 lipca o godz. 8-ej rano Mszę św. odprawił sam Ojciec św. Potem jeden z księży wziął nas z sobą do Janiculum, gdzie stoi konny pomnik Garibaldiego, cały z brązu. Piedestał posągu jest ozdobiony grupami, wyobrażającymi obrońców Rzymu w 1849 roku, epizod z bitwy pod Calatafimi, Amerykę i Europę.

O godz. 6-ej wieczorem odbyła się procesja Eucharystyczna na placu św. Piotra. Uroczystość ta wypadła nadzwyczaj wspaniale. Mimo szalonego upału, dochodzącego w cieniu do 40°C, Plac św. Piotra zaczął się szybko zapełniać. Dziesięć tysięcy wojska i faszystów pilnowało porządku. Wolny wstęp był tylko na sąsiadujący z placem św. Piotra, plac Rusticucci. By się dostać dalej, należało posiadać kartę wstępu, której otrzymanie nie było łatwe. Ponieważ karty otrzymaliśmy, udaliśmy się o godz. 5-ej na plac. Przez otwarte szeroko podwoje, prowadzące na olbrzymie schody, t. zw. Scala Regia, napływała arystokracja rzymska i przedstawiciele korpusu dyplomatycznego. W wielkiej sieni, poprzez którą widać schody królewskie, powiewa wielki, historyczny sztandar gwardji szwajcarskiej, ponieważ w tej sieni gwardja ta zaciąga pierwszą wartę. Gwardja papieska w tak świetlanym dniu historycznym wystąpiła w bogatym, uroczystym rynsztunku, na który składa się oprócz barwnego munduru, skomponowanego przez Michała Anioła, krótki pancerz ze stali, hełm wysoki, zakończony dwubarwnym grzebieniem, długa ozdobna szpada i halabarda. Zaciągnięto również warty Szwajcarów przed całą bazyliką. Stańto ich po dwóch z halabardami przy każdym portalu. Coraz napływały nowe grupy duchowieństwa, kierując się przez sień Szwajcarów do bazyliki. Równocześnie nowe rzesze i całe pielgrzymki zapełniały plac św. Piotra. Niebawem oczom zgromadzonych uka-

zał się niezwykle widok. Na gzymsach bazyliki pojawiło się kilkadziesięciu ludzi, którzy z wyjątkową zręcznością w ciągu godziny wypełnili całą fasadę setkami lamp oliwnych mlecznego koloru. Bez drabin, a tylko z pomocą lin ludzie ci z błyskawiczną szybkością dostawali się do najbardziej niebezpiecznych miejsc i ustawiali lampiony. W środkowym wejściu do bazyliki umieszczono już w południe jakby olbrzymi baldachim, wsparty na wysokich słupach, okrytych czerwonym aksamitem. Z takiego samego aksamitu ze złotym szlakiem był zrobiony cały baldachim. Pod nim zawieszono wspaniały gobelin, przedstawiający Ostatnią Wieczerzę Pańską. Jest to doskonała kopja ze zniszczonego fresku Leonarda da Vinci, znajdującego się na ścianie sali refektarza klasztoru Sta Maria delle Grazie w Medjolanie.

Podczas gdy plac św. Piotra wypełniały dziesiątki tysięcy publiczności, wewnątrz, w pałacu watykańskim, rozpoczęła się ceremonia, poprzedzająca procesję. W sali szat liturgicznych zgromadzili się kardynałowie, aby uczestniczyć w ubieraniu Ojca św. Wszyscy zaś patriarchowie, arcybiskupi, biskupi i opaci zebrali się w kaplicy Sykstyńskiej. Następnie w sali „delle benedizioni“, przytykającej do bazyliki, zgromadzili się dalsi dostojnicy kościelni, oczekując przybycia Ojca św. Na dany znak wszyscy przeszli do bazyliki św. Piotra, gdzie już skupił się świecki i zakonny kler. Wreszcie o godzinie w pół do szóstej mistrze ceremonii dali znak do rozpoczęcia procesji. W chwilę później Ojciec św. udał się z pałacu apostolskiego do kaplicy N. Sakramentu, gdzie Go przyjął kardynał Merry del Val, na czele kapituły watykańskiej.

Najpierw na placu św. Piotra zjawiły się oddziały milicji watykańskiej, które przy dźwiękach muzyki utworzyły dwa długie szeregi, schodzące od głównego wejścia do bazyliki na środek placu. Punktualnie o godz. 6-ej rozpoczęła się procesja. Otwierał ją oddział honorowej policji palatynskiej z muzyką, za którą postępował oddział żandarmów papieskich w galowych, bardzo malowniczych mundurach. O kilka kroków dalej rozpoczynał się długi bezgranicznie pochód wielkiej armii duchownej. Wier naprzód szły szeregi kleru zakonnego. Widziało się wszystkie zakony, należące do Kościoła Katolickiego, w imponującej liczbie kilku tysięcy. Widziało się najrozmaitsze kolory sukni zakonnych: czarne, białe, popielate, czerwone, ciemnozielone, ciemno-fioletowe. Duchowieństwo to szło ósemkami ze świecami zapalonymi w rękę, śpiewając pieśni kościelne. Za zakonami postępował kler świecki, poprzedzany drużyną szkoły śpiewu kościelnego. Następnie szły seminarja duchowne i kolegia seminaryjne wszystkich narodowości całego świata, a między innymi i my, Polacy. Za nami szli wikarzy i proboszczowie z całego Rzymu, następnie kapituły różnych kościołów kolegiackich Świętego Miasta i mniejszych bazylik. Tę część procesji zamykały kapituły bazylik patriarchalnych, poprzedzane własnymi orkiestrami. Każda z tych kapituł miała baldachim z żółtego lub amarantowego aksamitu, w formie wysokich, stożkowatych parasoli, pod którymi niesiono insygnia bazylik.

Drugą część orszaku otwierał oddział gwardji szwajcarskiej we wspaniałych pancerzach srebrzystych. W tej grupie postępowali najwyżsi dygnitarze kościelni, jak biskupi, arcybiskupi i patriarchowie,

ubrani w szaty pontyfikalne. Za nimi szli kardynałowie w purpurach. Następnie szedł rząd państwa watykańskiego, a za nim kroczyli wszyscy dygnitarze świeccy dworu papieskiego. Orszak ten był tak barwny, że aż ćmiło w oczach, a tak piękny, że zdawało się, iż jest senem widziadłem.

W blaskach zachodzącego słońca lśnią szkarłaty i złoto, śnieży się biel habitów i komż. W powietrzu unoszą się poważne dźwięki hymnów i psalmów, płynące z tysięcy piersi. Już siódma i pół; zmrok wolno zapada. Dzwony wzmagają swój chór triumfalny, tłum na placu zakołysał się w nagłym porywie ku bazylice. Naraz odzywa się największy dzwon bazyliki św. Piotra i przy jego potężnych dźwiękach ukazuje się pod baldachimem, wysoko nad głowami tłumów, klęcząca postać Ojca św., trzymającego przed sobą na wielkim klęczniku Monstrancję z N. Sakramentem. Ojciec św. klęczy na podjum, niesionym przez służbę papieską w czerwonych, jedwabnych strojach. Z ramion spływa mu długa kapa biała, cała usiana złotem. Wielkie wachlarze z piór, zlekka poruszane, odświeżają oblicze Papieża, pogodne, ale zatopione w modłach. Na niem to w tej chwili spoczywają oczy blisko 150-tysięcznego tłumu. On zaś zdaje się tego nie spostrzegać, wpatrzony w Eucharystję. Postać Papieża, znieruchomiała w uwielbieniu, sunie po placu. Za podjum papieskiem kroczą oddziały gwardji szlacheckiej w paradnych, czerwonych ze złotem mundurach, wysokich, srebrnych kaskach na głowie, białych łosiowych spodniach, lakierowanych butach za kolana, z obnażonemi szpadami w rękę. Procesję zamyka oddział milicji watykańskiej.

I posuwa się ona z wolna środkiem kolumnady Berniniego, poprzez las olbrzymich kolumn, jak barwny wąż. Robi się coraz ciemniej. Zalśniły brylanty Monstrancji i grają iskrami tysiące gromnic. Okna mieszkań oświetlają się wokoło placu. Cała fasada zaczyna jaśnieć setkami świateł, które, zapalone zaraz przy ustawieniu lamp, w miarę zapadania zmroku zyskiwały na jasności. Trzy kwadransy trwało obejście placu. Teraz podjum papieskie kieruje się z powrotem ku bazylice, gdzie już tymczasem ustawiono przenośny ołtarz, a na nim Monstrancję. Rozlega się głos następcy św. Piotra: „Adiutorium nostrum in nomine Domini“ — a lud odpowiada: „Qui fecit coelum et terram“. Srebrne trąby grają pódudkę. Wojsko prezentuje broń; żołnierze papiescy klękają. Papież Monstrancją błogosławi: „Urbi et Orbi“. Przy dźwiękach muzyki Pius XI wkroczył do świątyni. Słychać okrzyki ludu we wszystkich prawie językach ziemi: „Eviva Papa il Re“ — „Niech żyje Papież—Król!“

Poważną ciszę wieczoru mącą od czasu do czasu tu i ówdzie rozkołysane dzwony na wieżach kościołów i kaplic; w niebo płynie cudna melodia tej modlitwy śpiżowej, głębokim basem tonów i dyszkantem dzwonek, zlewających się w jedną przepiękną harmonję, wznoszącą się jako hołd ziemi dla nieba. Jakiś nastrój uroczysty — mistyczny, jakieś namaszczenie spływa na duszę — wypełnia się cały przestwór czemś bardzo subtelne i duchowe i czuje się prawie namacalnie, jak z wysokich obłoków spływa na nas, jako odpowiedź na ten hymn powszechny, życiodajne błogosławieństwo Wszechmocnego i Dobrego Boga — „Miastu i Światu“.

Była to jedna z największych manifestacyj kościelnych Rzymu, jakie miały miejsce od upadku Państwa Kościelnego w 1870 roku.

Opuszczenie przez Ojca św. murów Watykanu po raz pierwszy

w dniu tym od czasów zajęcia Rzymu przez Włochów, było zdarzeniem, na które od chwili zawarcia traktatu Laterańskiego oczekiwał świat cały z wielkiem wzruszeniem. Ojciec św. odtąd przestał być więźniem, a stał się niezależnym monarchą Państwa Watykańskiego.

W ciągu dwóch ostatnich dni pobytu w Rzymie zwiedziliśmy drogi sercu każdego Polaka kościół św. Stanisława B. i M., sławne Św. schody — „Scala santa“, po których Pan Jezus był prowadzony przed sąd Piłata i jeszcze inne bazyliki, które wprawiają w podziw swoją wspaniałością, harmonją, gigantycznością i nadzwyczajnem bogactwem.

Minęło jak sen tych kilka dni i nastąpił odjazd. Wszyscy ze smutkiem ciągniemy na dworzec, a stąd w powrotną drogę do Wenecji. Jedziemy nocą. Znużeni i wyczerpani prędko zasypiamy; dopiero nawoływania służby kolejowej budzą nas na stacji. Ogarnia nas wielkie zdziwienie. Zamiast huku dorożek, samochodów, tramwajów — łagodny plusk fali i żółtym krokiem płynące gondole. Wsiadamy w kilka z nich i płyniemy Kanałem Wielkim do jednego z hoteli, by się umyć, oczyścić z kurzu i wypocząć. Po drodze omijamy lekkie gondole, statki parowe, zagłuszające ciszę motorówki i po obu stronach nieprzerwaną linią ciągnące się wspaniałe pałace, a więc: Ca Doro, Corner Spineli, Risani, prześliczny kościół „Santa Maria delle Saluti i wiele innych.

Po obiedzie w gorączkowym pośpiechu obiegamy ulice, by jak najwięcej zobaczyć, by się zapoznać z najważniejszymi skarbami artystycznymi Wenecji. Przedewszystkiem zwiedzamy kościół św. Marka, obok oryginalny zegar wenecki z jego dwoma brązowymi wulkanami, wydzwaniającymi kwadranse i godziny, oraz wspaniały pałac Dożów — „palazzo Ducale“ — który swoim ogromem i wspaniałością zewnętrzną, jak i wewnętrznem bogactwem, świadczy o wielkiej potędze Dożów. Ponadto oglądamy most westchnień — „Ponte dei Sospiri“, z którego więźniowie, idący na śmierć, po raz ostatni mogli ujrzeć Wenecję.

Następnego dnia do południa zwiedzamy „Museo cirico“, a po południu płyniemy statkiem na wyspę Lido. Po półgodzinnej podróży przybijamy do brzegu wyspy. Samochodem jedziemy na drugi brzeg. Tu kąpiemy się w niespokojnym Adryatyku. Zbieramy co ładniejsze muszle i kamyki, które na piasek wyrzuca spieniona fala. Potem motorówką wyjeżdżamy na pełne morze, skąd, po dwugodzinnej przejażdżce, powracamy do Wenecji. O świcie gondolami zajeżdżamy na stację.

Do domu, do swoich, do ukochanej ojczyzny mimowoli wyrывa się serce. W oglądaniu krajobrazu czeskiego znowu przeszkadza nam noc. Trudno! Kiedy nie można nic zobaczyć, to trzeba spać. Budzimy się już na ziemi polskiej w Zebrzydowicach. Z radością wybiegamy na stację, by dotknąć stopą ukochanej matki — ziemi. Po skończonej rewizji ruszamy dalej. Czas mija lotem błyskawicy — za kilka chwil będziemy w Warszawie.

Teraz następują serdeczne pożegnania współtowarzyszy podróży, z którymi w ciągu paru dni zaledwie zawiązała się zażyłość, a między wieloma nawet szczerą przyjaźń. Ale już i dworzec; każdy dąży w swoją stronę, by jak najprędzej znaleźć się na łonie rodziny.

Z Kruszwicy.

(Garść wrażeń z wycieczki szkolnej na wystawę do Poznania).

Było spokojne, letnie południe.

Stojąc u stóp pomnika Bolesława Chrobrego, żegnaliśmy z żalem katedrę gnieźnieńską, która tylu widziała władców, tyle przeżyła wieków, a wkońcu musiała patrzeć na ucisk wielkopolskiego ludu pod zaborem okrutnego Prusaka. Jej wysokie, ponure mury, jej wąskie, ze złotymi witrażami okna, zdają się opowiadać historję przeżytych bezpowrotnie dziejów, a płynąca tu od wieków z jej wnętrza potężnymi akordami pieśń, prastara „Bogu Rodzica” — zdaje się potwierdzać niewzruszoną potęgę kultu Marii. Żegnamy tę skarbnicę wspomnień i pamiątek, aby zawitać do „piastowego sioła”, do Kruszwicy, aby ujrzeć na własne oczy Mysią Wieżę i toń starego Gopła. Ruszamy. Za nami pozostaje katedra, pomnik, wąskie ulice miasta — przed nami otwiera się daleka droga. Wychyleni przez okna wagonów, szukamy wzrokiem celu naszej podróży. Wreszcie stajemy na miejscu. Mała stacyjka, Kruszwica, wita nas gościnnie. Pieszko przebiegamy czyściutkie uliczki miłośnicy..., a tam, w dali, rysują się kontury wieży. Niecierpliwie dążymy do celu.

Na wielkiej górze, otoczona zielenią gęstych drzew, czuwa od wieków prastara wieżyca. Wyrasta ku niebu niejako z kupy gruzów, obdarta, posępna — bo ciąży na niej, niesłusznie zresztą, podejrzenie, jakoby była grobem Popiela, siedliskiem krwiożerczych myszy, niesłusznie dlatego, że obecna wieża pochodzi z XIV wieku, nie jest więc autentyczną wieżą Popiela. U stóp góry lśni lustrzana powierzchnia Gopła, które ją otoczyło z trzech stron — jakby ramionami i w niej się przegląda co dnia Mysia Wieża. Oglądamy starą wieżę — i żądni szerszego widoku, schodami, najpierw zewnątrz, potem wewnątrz wdrapujemy się na szczyt. Oparci tu o zręby „szczerbatych” murów, podziwiamy prześliczny, u stóp naszych leżący widok.

Z jednej strony przyległo do góry małe, dymiące kominami fabryk miasto, poza tem wszędzie woda. Jak okiem sięgnąć, ciągnie się lustrzana płyta Gopła, a dalej zieleń nieznanych nam lasów i łąk. Jakiż cudny widok! Każdy z nas chciałby jak najdłużej tu pozostać, chciałby paść oczy widokiem Gopła, lub szukać czegoś w nieznanych lochach wieży. Niestety — musimy już wracać. Wąską drożyną schodzimy z góry na jeden z licznych półwyspów, wybiegających w wodę. Znalazł się jednak między nami taki, który opuszczając z żalem wieżę, schował na pamiątkę kruszynę cegły. Być może, że kiedyś... kiedyś po latach, przyciśnięty wiekiem, wyjmie ze skrytki ten mały talizman, a on mu przypomni nie tylko Mysią Wieżę, ale i, minione bezpowrotnie, słoneczne dni młodości. Uczynił to, bo pragnął wspomnienie stąd zachować na całe życie, bo odczuł piękno i powagę chwili.

Idziemy dalej. Na owym półwyspie posilamy się podwieczorkiem, który zresztą jest bardzo drogi i mikroskopijny, a potem schodzimy z góry. Kiedy opuszczaliśmy półwysep, dzień miał się już ku końcowi; gdy zaś po nieudanej próbie dostania się do starego kościoła, zatrzyma-

liśmy się nad brzegiem jeziora w pewnem od wieży oddaleniu, czerwony krąg słoneczny był u schyłku swej dziennej wędrówki. Tam, na widnokręgu, lśni już tylko połowa słonecznej tarczy. Siedzimy nad brzegiem. Zdale od słońca bieży ku nam po tafli jeziora smuga złocista — to ostatnie błyski igrają z falami. Na lewo, również oblana krwawym blaskiem, zasypia Mysia Wieża. Czekamy na odejście słońca. Jest cichy, bardzo cichy wieczór. W powietrzu brzmi cieniutką nutą muzyka komarów, których chmary krążą nad jeziorem, a u brzegów, kołysane wieczornym wietrzykiem, szeleszczą trzciny. Słońce zgasło, znikła świetlana smuga na wodzie, a z oparów zaczął wypelzać szary zmrok.

W tej ciszy wieczoru padają słowa naszego p. profesora Jędrzychowskiego. Słuchamy dziejów Kruszwicy, Gopła, Mysiej Wieży, słuchamy ciekawie, choć może nie po raz pierwszy w życiu. I zdaje mi się, jakoby po lustrzanej fali jeziora pędziły do stóp góry tajemnicze jakieś łodzie, lśniły pochodnie, a potem... płynęły wodą trupy pomordowanych stryjów Popiela... potem... myszy i myszy... coraz bliżej... bliżej. Gwizdek. Marzenia prysły — wróciła rzeczywistość. Zabieramy się do odejścia. Wdali na jeziorze połyskują jakoby światła, słysząc plusk wiosł i dźwięki gitary... pieśń... a Mysia Wieża śpi otulona całunem mroków... cisza... Jeszcze jedno przeciągłe, tęskne spojrzenie — i w drogę. Przebiegamy szybko mroczne uliczki miasta, nie zwracając na nie uwagi, bo myśli nasze pozostały tam, na falach Gopła.

Ta sama maleńka stacyjka, — ten sam wagon.

W chwili, gdy lokomotywa rusza w ciemnię, na peronie odzywiają się dźwięki trąbki harcerskiej, a z naszych piersi wyrывa się pieśń:

„Upływa szybko życie, jak potok płynie w dal,
A w sercu pozostaje — tęsknota... smutek... żal...”

Konstanty Kowalewski, kl. VI.

Karta z „Dzienniczka”.

(Moja obserwacja z wiosny 1929 r.)

W piękny, pogodny dzień wiosenny, przed zachodem słońca, wyszedłem dla rozrywki na spacer do młodego podmokłego lasu, gdzie w kotlinach rosły olchy, a na wzniesieniach dęby, jarzębiny, płaczące brzozy, a także wyniosłe sosny i drżące osiki. Wśród tych drzew rozłożyły się również i krzewy jak: kruszyna, krzaczasta krzewina, nastroszona kolcami jeżyna i maliny, które stanowiły podszycie lasu. W niektórych zaś miejscach rozwijały się barwnymi kępami: fiołki, przylaszczki, pierwiosnki i sasanki. Na wzgórkach, zarośniętym młodemi brzoźkami, znalazła się niewielka polanka, pokryta macierzanką, która dzieliła pasma zielonej trawy. Wśród małych, karłowatych brzoźek wznosiły się mrowiska.

Przyszedłszy tam, usiadłem na pniu opodal jednego z największych i uważnie przyglądałem się zajęciom mrówek, które z wielkim staraniem gospodarowały w swoim państwie. Dzieliły się one jakby na oddziały, przeznaczone do pewnych robót. I tak, jedne pilnowały granic przed napadem innych mrówek, drugie pracowały nad powiększeniem domku, ściągając różne gałązki, inne troszczyły się o pożywienie, niektóre zaś wszystko to kontrolowały, a wszędzie panował wielki ład i porządek.

Podczas tego zajęcia usłyszałem ztyłu lekki szmer, a obróciwszy się, ujrzałem dwa zajaczki wesoło skaczące, za którymi sunął niespostrzeżony przez nie bury kot. Chcąc się dowiedzieć, co się dalej stanie, skryłem się za sąsiedni krzak i pilnie przyglądałem się wszystkiemu. Tymczasem kot siadł tuż obok mrowiska i widocznie czekał sposobnej chwili, aby rzucić się na zajaczki, które skakały przez kępy i wywijały różne kozły.

Lecz niedługo trwała ta zabawa, bo wkrótce ze strasznym wrzaskiem wypadł pokryty czarnymi mrówkami kot i, tarzając się po trawie, przestraszył bawiące się szaraki, które umknęły z polanki. Ja zaś, nie mogąc się powstrzymać, parsknąłem śmiechem i jeszcze bardziej przestraszyłem burego, niż on zajaczki. Pomknął więc jak strzała do rzeki, gdzie skąpał się w wodzie. Po chwili nastał spokój a tylko rozśpiewane ptactwo nuciło swe pieśni. Głęboko zaszyty w trawach odzywał się bekas, w dali słychać było krakanie wron i hukanie pułaczów i sów, w górze odzywał się przenikliwym głosem lelek-kozodój i wiele innych ptaków, których głos łączył się z szumem drzew i śpiewem pastuszków, pędzących do domu bydło, tworząc tym sposobem piękną muzykę przyrody. Już i słońce za las się skryło, a ciemność ogarnęła ziemię, gdy wracałem upojony urokiem natury do domu...

Rzeczywiście w lasku byłem, ale usiadłszy na pniu, zdrzemnąłem się i to wszystko, com napisał, śniło mi się.

Stanisław Karwowski, kl. IV.

Sprawozdanie z zajęć szkolnych

za I półrocze r. szk. 1929/30.

Pierwsze półrocze b. r. szk. miało wprawdzie, jak zwykle, chwile ciężkie i bardzo pracowite, ale nie było pozbawione jasnych promyków szczęścia, zadowolenia i radości. Zarejestrowanie jednych i drugich — oto zadanie niniejszej notatki.

Pierwsze miejsce w tym rejestrze, tak „z wieku, jak i z urzędu“, bezspornie należy się benjaminkowi polskiemu, Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu, zwanej przez skrócenie P. W. K., na którą w liczbie 50, mając na czele Ks. Prefekta, Bernarda Filipiuka i profesora historii, p. Jana Jędrychowskiego, wyjechaliśmy z Siedlec



PRACA UCZNIÓW PRZY POMOCY LUP I MIKROSKOPÓW

dnia 28 sierpnia 1929 roku. Wycieczkę tę odbyliśmy wygodnie, wesoło i pożytecznie, gdyż podróżowaliśmy wagonem oddzielnym, przy śpiewie wesołych, często pełnych dowcipu i humoru młodzieńczego piosenek, a przyjęci serdecznie przez poznańczyków i oprowadzeni po Wystawie, umysły nasze wzbogaciliśmy licznymi wiadomościami, w sercach zaś wyryliśmy głęboko tę żywą prawdę, że „Polska to wielka rzecz“, którą mamy prawo szczycić się przed innymi narodami. Powrót znowu z Wystawy do domu przez Gniezno, Kruszwicę i Toruń utwierdził w nas to przekonanie, że tę „wielką rzecz“, tę spuściznę po Ojcach naszych, po Bogu najwięcej kochać winniśmy i w razie potrzeby oddać za nią ostatnią kroplę krwi. To też, gdyśmy opuszczali Toruń, mimowolnie z piersi naszych popłynęła „Rota“ Kopnickiej: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród... Tak nam dopomóż Bóg“.

Powróciwszy do Siedlec dnia 4 września rano, trafiliśmy na rozpoczęcie roku szkolnego i, choć zmęczeni i senni, z zapałem wzięliśmy udział w tej uroczystości. A więc razem z innymi kolegami, podczas Mszy św., na naszą intencję przez J. E. Ks. Biskupa C. Sokołowskiego w kaplicy szkolnej odprawianej, złożyliśmy u stóp Wszechmocnego hymn prośby i błagania o błogosławieństwo, o pomoc, o siłę, o wytrwanie w pracy szkolnej i na ten trud i znój, które nas czekały, zasililiśmy się Ciałem i Krwią Pańską. Odtąd bieg życia szkolnego potoczył się normalnie: szły lekcje za lekcjami, przepłatane od czasu do czasu jakąś rozrywką, zabawą lub uroczystością, które były dla nas wychnieniem i podnietą do dalszej pracy.

By odnowić i utwierdzić w pamięci naszej wspomnienia z Wystawy, dn. 23 września p. profesor Jędrzychowski miał pogadankę na temat: „Poznań i Powszechna Wystawa Krajowa“, w której, idąc krok za krokiem po terenie Wystawy, przechodząc od pawilonu do pawilonu, od jednej grupy eksponatów do drugiej, zwracał naszą uwagę na tężyznę, moc, siłę i potęgę duchową naszego narodu.

Dnia 4 października kolega Antoni Szymański z kl. VIII, w barwnej i pełnej humoru gawędzie, zatytułowanej „Wrażenia z podróży na Powszechną Wystawę do Poznania“, przypomniał nam te miłe i wesołe, choć raz głodne, chwile, które przeżyliśmy w drodze tam i z powrotem.

W kilka dni potem, 12 października, cała szkoła wraz z pp. profesorami zrobiła wycieczkę do lasu sekulskiego. Dzień był wyjątkowo piękny. Słońce na swym złotym rydwanie sunęło zwolna po błękitach, poprzecinanych tu i owdzie unoszącymi się srebrnymi niemi babiego lata. Tryskająca młodością nasza drużyna, zaledwie wyszła za miasto, natychmiast na swój sposób przerobiła ustęp „Pieśni o ziemi naszej“ W. Pola: „W góry, w góry“—na „W lasy, w lasy, miły bracie, tam swoboda czeka na cie“—i na skrzydłach gromkiego chorału wysłała modrzejacemu się w dali lasowi wieść o swoim rychłym przybyciu. Poważnie pochylił w naszą stronę gałęzie modry bór, jakby dając znać, że nas oczekuje, a potem poszumem łagodnym dał nakaz swej młodszej braci, by nam była rada. Wkrótce las zawrzał ruchem i napełnił się gwarem. Rozigrana drużyna nasza zaczęła żyć pełnią młodego życia. Jedni biegali po lesie, hukając wesoło; drudzy zaczęli tak pięknie śpiewać, że mające wydłukać słuch muzyczny śpiewaki skrzydlate z największym pośpiechem uciekały jak

najdalej od miejsca naszego obozowiska; inni wzięli się do piłki lub dyska; inni jeszcze rozpoczęli wyścigi, a znaleźli się i tacy, którzy, idąc za przykładem p. prof. Turka, wydobyli skądś papier i ołówki lub farby, rozsiedli się wygodnie na pniach i kłodach i zaczęli rysować, albo malować tak zawzięcie, jakby przed chwilą otrzymali z Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych telegram: „Przysyłajcie wasze arcydzieła, gdyż na nie tylko z otwarciem wystawy czekamy”; wreszcie kolega A. takie rzewne tony wydobywał ze swoich skrzypeczek, że nawet nasi pseudo-przyrodnicy zaprzestali swoich łowów, złowione zaś owady i płazy gorzkimi zalały się łzami. Wszystko jednak musi mieć swój koniec! Słońce pochyliło się ku zachodowi, skryło się za wierzchołki drzew, mrok zaczął pokrywać ziemię i dla nas nadszedł czas powrotu w mury szkolne. Kolega B., solista naszego chóru, zaintonował jakimś płaczliwym tenorkiem: „Żegnam cię, lesie uroczy“, a później: „Czas do domu“ — i ruszyliśmy ku miastu. Nazajutrz wszystko to wydawało nam się snem; o wycieczce do lasu przypominał nam tylko płaczliwy głos kolegi z kl. IV, który w żaden sposób nie mógł się uporać z deklinacją: „*silva viridis et frondosa*“.

Z okazji 150-letniej rocznicy śmierci bohatera z pod Sawannah, Kazimierza Puławskiego, dnia 19 października 1929 r. p. prof. Jan Jędrychowski miał odczyt, by nas bliżej zapoznać z tym Wielkim Rodakiem naszym.

W tym również czasie p. profesor Woszczerowicz mówił nam o „Oszczędności“. Przemówienie jego da się w ten sposób streścić: Widzicie, jak wielką jest korzyść z oszczędzania. Oszczędzajcie więc sami, składajcie groszaki wasze w P. K. O. i zachęcajcie waszych braci, krewnych i znajomych, by robili to samo. Ziarno do ziarnka, a zbierze się miarka. Widocznie zachęta trafiła kołegom do przekonania, gdyż nazajutrz kilku z nas nabyło w P. K. O. książeczki oszczędnościowe.

Dnia 3 listopada, w przeddzień imienin naszego Ks. Dyrektora, odbył się, przy współudziale pp. profesorów, uroczysty wieczorek, podczas którego, po złożeniu życzeń Czcigodnemu Solenizantowi, odegraliśmy dwa niewielkie utwory sceniczne; grę artystów koledzy nagradzali hucznymi oklaskami.

W tydzień potem koledzy: Józef Argasiński i Antoni Sadliński, uczniowie kl. VII, wygłosili dwa krótkie referaty o „Samowystarczalności“, zachęcając, byśmy, dla wyłuszczonych w referatach powodów, nie nabywali żadnych wyrobów zagranicznych, jeśli to samo wyrabiają fabryki krajowe.

16 listopada, z okazji uroczystości św. Stanisława Kostki, odbyła się akademja, na którą się złożyły: referat kolegi Stanisława Argasińskiego, z VIII klasy, na temat: „Św. Stanisław Kostka, a młodzież w czasach obecnych“, śpiewy chóralne, deklamacje, muzyka na skrzypcach i melodykonie. Wreszcie Sodalisi Marjańscy na szkolnej scenie odegrali epizod z życia św. Młodzieniaszka, o wysokiem napięciu dramatycznym, p. t. „Noc błogosławiona“. Wszyscy artyści, a szczególnie kolega K., odczuli swoje role i wywiązali się z nich dobrze.

W dniu następnym p. prof. St. Rostkowski mówił o „Obronie przeciwegazowej“, a kol. Władysław Bodziak, z kl. VI, o „Organizacji

i zadaniu lotnictwa". W następstwie kilkudziesięciu kolegów zapisało się na członków Siedleckiego Stowarzyszenia L. O. P. P.

Dnia 24 t. m. i r. ten sam kolega Bodziak mówił na zebraniu Koła Abstynentów o walce z alkoholizmem.

Dn. 28 listopada na zebraniu Kółka Polonistów kolega Henryk Gniwek, z kl. VI, miał referat na temat: „Idee kierownicze wieku odrodzenia“, w którym scharakteryzował humanizm włoski, jego genezę i rozwój.

W wigilię Niepokalanego Poczęcia N. Marii Panny, ucz. kl. VIII, kolega Ryszard Zawadzki zdał sprawozdanie z wycieczki do Rzymu, którą kosztem szkoły zrobił w czasie wakacyj na Jubileusz Ojca św.

Na tydzień przed wyjazdem naszym na Święta Bożego Narodzenia, na zebraniu Abstynentów kol. Szczepan Pieniążek, w referacie o „Punktualności“ dał nam doskonałą naukę szanowania swego i cudzego czasu, czy jednak wpłynie ona na poprawę naszą, śmiem bardzo wątpić.

Dn. 21 grudnia wieczorem zebraliśmy się wszyscy na sali rekreacyjnej. Zasiadliśmy wokoło ogromnej, jarzącej się od świateł, przybranej suto choinki, mając między sobą Ks. Biskupa Sufragana, Ks. Dyrektora i wszystkich naszych pp. Profesorów. Jeden z kolegów w imieniu naszym złożył życzenia Ks. Biskupowi i naszym Zwierzchnikom, na które odpowiedział Ks. Dyrektor, pp. Profesorowie i Ks. Biskup, poczem nastąpiło łamanie się opłatkiem. Odrazu prysł wszelki porządek, wszyscyśmy się pomieszali, zapanowała atmosfera ciepła, rodzinna. Ks. Biskup i pp. Profesorowie znaleźli się między nami, mieszały się z nami, każdy łamał się opłatkiem z kim chciał i kiedy chciał, a kiedy jeszcze za przewodnictwem kolegi B. huknęliśmy kolendę: „Anioł pasterzom mówił“, za nią zaś drugą i trzecią, zdawało nam się, że jesteśmy w domu rodziców i to tylko dziwnie się wydawało, że nie widzimy około siebie ani ojca, ani matki, ani rodzeństwa. Kolenda szła za kolendą, na sali zaczął się rozgwar, nawet najwięksi melancholicy rozjaśnili twarze wesołym uśmiechem i aniśmy spostrzegli, kiedy minęło aż trzy godziny i lektor dzwonkiem przypomniał nam, że czas iść na kolację. Naprawdę było wesoło i przyjemnie.

Dnia 21 grudnia. Nareszcie, jedziemy do domu! To nam się należało, bo już nie na żarty jesteśmy zmęczeni! Wypoczniemy, odżyjemy! Zatem do widzenia, Koledzy! Szczęśliwej podróży, przyjemnego wypoczynku, a nie zapomnijcie przywieźć dużo, dużo przysmaków i dobrego humoru, bo dla osłodzenia naszego sztubackiego życia i jedno i drugie bardzo się przyda!

Dnia 2 stycznia 1930 roku. Ot i po wszystkim! Były święta, ale już przeszły; był wypoczynek, ale go już niema. Pozostało tylko trochę humoru, no i otucha, że damy sobie rady i przy pomocy Bożej szczęśliwie przebrniemy do Wielkanocy, od Wielkanocy do wakacyj letnich, a tam wypoczynek nie dziesięciodniowy, lecz sześciotygodniowy. Szkoda tylko, że nie wszyscy zeń korzystać będziemy.

P. prof. Turek, dn. 11 stycznia, w godzinach popołudniowych, bardzo zajmująco wyłożył nam „Wesele“ Wyspiańskiego.

Na zebraniu Kółka Abstynenckiego, dn. 12 stycznia, kol. Kulczyński uczył nas, jak wyrabiać alkohol, widocznie po to, żebyśmy

nie potrzebowali kupować i połączyli *dulce cum utili*, t. j. nie odmawiali sobie „kieliszeczka“, a niezależnie od tego zaoszczędzony grosz na kupnie alkoholu monopolowego zanieśli do P. K. O.

Na Kółku Literackim, dnia 16 stycznia, kol. Stanisław Argasiński miał udatny odczyt na temat: „Humanizm w literaturze polskiej“.

Dnia 26 stycznia p. prof. Turek wyświetlił, zapomocą epidjaskopu drugą część „Dziadów“ Mickiewicza i dawał odpowiednie wyjaśnienia.

Dn. 27 stycznia Ks. Kanonik Wilde wyświetlił w sposób kinematograficzny film „Życie Chrystusa“, z mnóstwem wspaniałych widoków Palestyny, a na zakończenie rzucił na ekran kinematografu kilkanaście scen komicznych. Młodzi koledzy zaśmiewali się, my jednak zachowaliśmy się niby to poważnie, boć przecież nie wypada śmiać się z tego ósmioklasiście, z czego zaśmiewa się czwartak.

No, dobrnęliśmy do półroczna, lekcyj już niema, bo dnia 31 stycznia zaczęły się czterodniowe „małe wakacje“. Ponieważ do domu pojechało bardzo niewielu, prawie wszyscy siedzimy w zakładzie. Wstajemy później niż zwykle, po śniadaniu idziemy na ślizgawkę, którąśmy sobie urządzili na boisku w parku szkolnym, potem uczymy się do obiadu lub czytamy książki, których moc nabraliśmy z biblioteki szkolnej, po obiedzie wycieczka za miasto, po powrocie odpoczynek, odczyt, próby z komedijek, które mamy grać w zapusty, radio, kinematograf, jakiś odczyt, pacierz wspólny i spać. Z odczytów, w tym przeciągu czasu wygłoszonych, zanotować należy: p. prof. Turka: „Quo vadis“ Sienkiewicza i „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, oraz p. Dra H. Ostrowskiego: „O ratownictwie w nagłych wypadkach“. Zaznaczyć należy, że wszelkie odczyty i pogadanki były ilustrowane przez epidjaskop, a pocziwe radio prawie codziennie nietylko nas uczy, wypowiadając nieraz wspaniałe odczyty, ale i rozwesela nasze życie uczniowskie, grając i śpiewając.

Piotr Gruba, kl. VIII.



T R E Ś Ć.

	Str.
Przez pracę i oświatę do potęgi — St. Argasiński	3
Podlaskie Mniejsze Seminarjum Duchowne czyli Wyższe Gimnazjum Biskupa Podlaskiego — St. Gogłuska	7
Do światła (wiersz) — Al. Kulczyński	12
A. Mickiewicza: Oda do młodości (Analiza literacka) — F. K. Józwiak	12
Na szczyty (wiersz) — Al. Kulczyński	18
Idee kierownicze włoskiego Odrodzenia — St. Gniwek	22
Polska wobec nowinek religijnych — W. Bodziak	23
Zwyczaje i obyczaje szlachty naszej w w. XVI (Na podstawie przeczytanych wyjątków z pism M. Reja) — K. Kowalewski	28
Istota tragizmu (Referat na podstawie Antygony Sofoklesa) — St. Gogłuska	33
Burza (wiersz) — Cz. Wielądek	33
Wychowanie młodzieży w starożytnym Rzymie — I. Sapiecha	34
Bieg (wiersz) — Z. Wachulak	37
Na łacinie (wiersz) — Z. Wachulak	38
Partyzantka „Lelewela“ — Borelowskiego, na tle powstania Sty- czniowego — Fr. Ksaw. Józwiak	38
Wrażenia z pielgrzymki do Rzymu — R. Zawadzki	46
Z Kruszwicy (Garść wrażeń z wycieczki szkolnej na Wystawę do Poznania)	56
Karta z „Dzienniczka“ (Moja obserwacja z wiosny 1929 r.)	57
Sprawozdanie z zajęć szkolnych za I półrocze roku szkolnego 1929/30 — Piotr Gruba	58

CORRIGENDA:

Na str. 10 w wierszu 5 od dołu należy dodać: p. kapitan M. Koczorowski.

Na str. 11 w wierszu 5 od góry dodać: spowiednikiem zaś jest Ks. Br. Lubieniuk.

